



2531/61

3. 21. 1937
Próba i. m. 1937
Próba i. m. 1937
Próba i. m. 1937

NA WYMOWIE

DRAMAT Z ŻYCIA LUDU
W 4 AKTACH

NAPISAŁ
MACIEJ SZUKIEWICZ

KRAKÓW 1937
SKŁAD GŁÓWNY w KSIĘGARNI FR. EBERTA WDOZY
ul. Sławkowska 3

2537/60

LP 130L

170779
II

ob.
H. Uroda
Buerkomice
7.3.61. 15. m



OD AUTORA.

Miedzy życiem przed- i powojennym i pomiędzy przed- i powojennym piśmiennictwem legła taka przepaść, że publikowanie dziś utworu, powstałego na długo przed krwawym potopem lat 1914—1918 zakrawa na nonsens. Toteż kiedy dyrektor zakładów graficznych „Michalineum“ w Miejscu Piastowym, ks. Jan Górecki, oświadczył mi się z chęcią wydrukowania mego ludowego dramatu „Na wymowie“, odradzałem Mu chybionego wydawniczo przedsięwzięcia. Atoli po chwili zastanowienia przyjąłem przyjacielską propozycję, dostrzegłem bowiem, że na dnie sprawy zgoła błażej, kryje się pewien ogólniejszy problem kulturalny. Na czym on polega? — wyjaśnię pokrótce.

„Na wymowie“ napisałem w 1903 roku. Sytuacyjnej fabuły sztuki nie potrzebowałem wymyślać; dało mi ją życie. Sądownictwo galicyjskie b. Austrii miało w swej praktyce aż nazbyt częste wypadki, w których przez pijanego chłopą pobity do krwi arendarz doprowadzał napastnika do ruiny. Miało to swoją specjalną technikę, polegającą na cierpliwym przywarowaniu i przechodziło następujące etapy: 1) pobicie, połączone z cielesnym uszkodzeniem, 2) *visum repertum*, 3) skarga do sądu i przyznanie poszwankowanemu nawiązki, 4) paroletnie jej nieegzekwowanie i czekanie na narost procentów, 5) nagle, na przednowku lub po klęsce żywiołowej, zaskarżenie pretensji, kończące się dla powoda przyznaniem mu prawa współwłasności i zahipotekowaniem go na mieniu pozwanego, najczęściej na domu mieszkalnym. Brzmiało to na pozór niewinnie, a jednak wiodło zazwyczaj do katastrofy, wyekstabulowanie bowiem współwłasności, niewykonalne bez

pomocy doradcy prawnego, którego chłop, póki może, unika, było dla nieświadomego ustaw Bartka czy Kuby częścią formalką. „A niech-ta, a mnie co wadzi, że jakąś belkę mojej chałupy przysądzą żydowi? — ze ściany mi jej przecie nie wydrze“ — i na tym poprzestawał. Dzięki temu sprawa — mówiąc językiem sądowym — czas jakiś „spoczywała“. Ale nie spoczywał Shyllock i nie zapomniał o funcie mięsa; przez swego pełnomocnika w mieście, oczywiście współwyznawcę, wybrałszy moment, gdy pozwany nie mógł absolutnie uiścić mu się z długu, dochodził go przez likwidację idealnej części swej własności, tkwiącej w ścianach zagrody dłużnika, i wystawiał ją na sprzedaż z licytacji, na której przez tegoż samego adwokata, ukrytego za mafią „kradników“¹⁾, nabywał cały obiekt za byle co. Pomimo obywatelskich pouczeń, dorad i przestróg sędziów, przed którymi takie sprawy się toczyły, zarówno Bartek jak Kuba, nie przezuwając, że perfidnie wyzyskany paragraf kodeksu może go dla małej stosunkowo przewiny pozbawić warsztatu pracy, zasypiał gruszki w popiele i w końcowym rezultacie szedł na żebrzy. — Wypadki takie bywały tak częste, że nie trzeba było być sędzią, ażeby znać dokładnie ich przebieg.

Taką to fabułę sytuacyjną przyszło mi wypełnić konfliktami charakterów. Przy odrobinie twórczej wyobraźni zadanie to nie jest zbyt trudne, z warunkiem atoli, ażeby ta twórcza wyobraźnia nie ssiała z palca, lecz gruntuwała się na „przeżyciu“. Nie musi to być realne, osobiście zrobione doświadczenie; dość skorej do skojarzeń i dopełnień obserwacji. A tej miałem spory zasób. Letnie wywczasy 1902 roku spędziłem we wsi Hyżne w powiecie rzeszowskim jako gość tamtejszej pocztmistrzyni. Dzień w dzień schodziło się do niej mnóstwo ludzi po radę lub informacje, a przy tej

¹⁾ Hałastra licytantów, nie dopuszczająca innych oferentów do głosu a nawet do wnętrza hali licytacyjnej i nie wychodząca w swych zaofiarowaniach poza pewną, z góry między sobą umówioną kwotę, nie lub mało co przekraczającą kwotę wywołania.

spodobności spowiadało z trosk i kłopotów, nadziei i zawodów, radości i zgryzot. A że im bliżej pługą, tym mniej maskowania się i obłudy, więc starczyło miesiąca, ażebym życie całej wsi poznał z bliska i dokładnie.

Po powrocie do miasta na zimowe leże 1902/03 robiłem fabułę na akty, konflikty charakterów ująłem w dialogi i spisałem je w języku literackim. W literackim nie dlatego, że wieś Hyżne leżąc na pograniczu językowym między Łachem i Rusem, wcale nie mazuruje i prawie że nie zna gwary, lecz dlatego, że liczyłem się ze słuchaczem i czytelnikiem językowo ukulturowanym, którego nuży słuchanie lub czytanie utworu, zredagowanego konsekwentnie w gwarze, a już wprost drażni, jeśli tę gwarę poda mu się w pisowni fonetycznej, jak to zrobił autor „Marcyny“, p. Juliusz Kędziora. Chciałem przy tym osiągnąć inne jeszcze cele; po pierwsze: ażeby — nie znając dostatecznie dokładnie gwar polskich — nie popełnić lingwistycznej gaffy w rodzaju osławionego „bych“ w Reymontowskich „Chłopach“; po wtóre: ażeby przez leciuchne tylko spróśzenie tekstu wyrażeniami gwarowymi przypominać jednak czytelnikowi raz po raz, w jakim środowisku toczy się akcja; po trzecie: ażeby — o ile by rzecz poszła na scenę — nie podsuwać aktorowi fonetycznych zjawisk gwarowych, których on przeważnie zupełnie nie rozumie i nie wyczuwa. Toć nie byle gdzie, jeno na scenie Teatru Słowackiego w Krakowie i w ustach rutynowanego aktora (co prawda semity z urodzenia) słyszałem raz takie fonetyczne horrendum jak wyraz „morze“ (zbiorowisko wód) wygłoszone „mozie“!!!

Gdzież jednak w tym wszystkim jest „problem kulturalny“, który — rzekomo — wiąże się z drukiem w książce mego dramatu? Owszem, związek taki istnieje i wykażę go, skoro przejdziemy do kwestii scenicznej sztuk reprezentacji.

Pierwszy spośród teatrów polskich zagrał „Na wymowie“ Teatr hr. Skarbka we Lwowie. Jakie były *priora* i okoliczności tej premiery, opowiem — jeśli mi życia starczy — in-

nym razem i gdzie indziej; tu poprzestanę na stwierdzeniu, że mimo dobrych chęci dyr. Hellera, który się do sztuki nie żartem zapalił, sztuka padła. Nawet dość sromotnie. Złożyło się na to parę przyczyn, w pierwszej jednak linii zasadniczo mylne ujęcie przez aktorkę roli Maryny, która z postaci, dźwigającej na sobie cały ethos sztuki, zrobiła wiejską ladicznicę, wcale nie lepszą od pasierbicy Jagi. Takie postawienie postaci dramatu mogło i musiało zmylić recenzentów. Toteż wytykając autorowi raz po raz naśladownictwo Reymonta, odmówili sztuce wszelkiej wartości, a jeden z nich — był nim dzisiejszy senator p. Feliks Gwiżdż — recenzję swą rozpoczął w ten sposób: „Psia krew — prostytutka — ciemnota — jezuityzm — łajdactwo — złodziejstwo — sznur i nareszcie noworoczna gwiazdka¹⁾”. Aż tyle zobaczył p. Szukiewicz na wsi i z tym pośpieszył na scenę. Chłopu o nic nie idzie, jeno o brzuch i kieszeń, jeno o ten od wielu lat plątający się po dramacie „gront”. Ciemnota? — niechże będzie najciemniejsza, temperament? — to już po chłopsku ognisty, do krwi rozlewu doprowadzający, topór? — to już największy, sznur? — to już wytrzymały, żeby się „trefunkiem” nie przerwał. I tak w kółko aż do znudzenia, aż do obrzydzenia”. Ozwały się jednakże już i wtedy sądy o sztuce korzystne. Redaktor „Przeglądu”, Ludwik Masłowski, krytyk bystry i wymagający, zauważył w swej recenzji (18. X 1907), że „Na wymowie” nie odkradło nic Reymontowi, a lwowski korespondent Feldmanowskiej „Krytyki”, zdając relację z całorocznej kampanii teatru lwowskiego, dostrzegł w utworze poważne walory artystyczne. Wszystko to jednak nie mogło zmienić faktu, że sztuka na razie przepadła z kretesem.

¹⁾ Pierwotnie kończyło sztukę pojawienie się w oknie, przez które Maryna wzywa ludzi na pomoc, paru wyrostków „z gwiazdą” i śpiewami. Osłabiało to grozę ostatniej sceny i psuło zakończenie całości, zostało też z dalszych reprezentacji usunięte.

Blisko w dwa lata potem zjawił się u mnie p. Zelwerowicz z tym, że, mając objąć dyрекcję teatru w Łodzi, układa repertuar i rad by w nim zamieścić którąś z moich sztuk. Zaproponowałem mu dwie: „Po szarym dniu słońce“ (sztukę, której akt czwarty przerobiłem później i przechrzciłem ją na „Przedwiośnie“), oraz „Na wymowie“. Po zapoznaniu się z obiema p. Zelwerowicz pierwszą odrzucił, natomiast z pewną dozą entuzjazmu wziął drugą i zagrał ją w Teatrze „Victoria“. W kapitalnej obsadzie. Sp. Siemaszko jako Budyka, p. Żmijewska jako Maryna zagrali rzecz koncertowo i sztuka — chłopska sztuka na scenie niemiecko-żydowskiego przeważnie miasta! — poszła przy wyprzedanej widowni 10 razy z rzędu i miała zarówno w polskiej, jak zwłaszcza niemieckiej prasie nader pochlebne recenzje. Tak samo a bodaj jeszcze korzystniej oceniła sztukę prasa rosyjska, gdy Zelwerowicz zjechawszy ze swą trupą do Petersburga, dał szereg wzorowych reprezentacyj. Dało mi to pewne zadośćuczynienie za te ciągi, którymi mię obdarzyli rodacy, ale — jakkolwiek Teatr Odrodzony na Pradze pod dyрекcją Turowiczówny, w dobrej obsadzie i starannie sztukę znów zagrał (8. VII 1926) — nie zdobyła już ona rangi „pozycji“ w rodzimym dorobku dramatycznym, którym „Na wymowie“ mimo wszystko jest i pozostanie, choćby panowie P. T. Recenzenci domorosłego chowu i pokroju jeszcze kilka szaflików pomyj na nią wylali.

Skądże to dobre o sobie mniemanie, ba! pewnośc niedowd? Wypada mi się z tego wytłumaczyć.

Na zjawisko, które obejmujemy mianem piśmiennictwa, przydałyby się nam dwa odrębne terminy. Jeden na grafemami utrwaloną treść duchową jednostek, udzielających ze siebie otoczeniu własnowłasne tzn. im tylko właściwe stany świadomości odkrywczego intelektu, zgodnego w nich całkowicie z sensytywą; drugi na podobnie utrwalone, ale obcowłasne tzn. od poprzednich przejęte, podpatrzone, podsłuchane i t. p. myśli i uczucia. Do pierwszej kategorii na-

leżą zakonodawcy i filozofowie oraz wielcy artyści słowa-idei; do drugiej tacy jak ja pisarze tj. wielotysięczna *misera plebs* wszelakich skrybów, którzy biorąc na swe krosna dorobek pierwszych i co najwyżej wsnuwając węń jakąś własną niteczkę, opisują w milionowych kombinacjach to tylko, na co patrzą. Pierwsi — tworząc — kształtują życie ludzkości; drudzy — pisząc — robią literaturę. „*Sub specie aeternitatis*“ ta druga kategoria, kategoria skrybów, nie bogacąc życia i tylko je przeżywając, mogłaby wcale nie istnieć, a owoc ich działalności, belletrystykę, można by bez żadnej dla świata straty zniszczyć.

Ale tu zjawił się dość poważny szkopał. Literatura jest reportażem ze zdarzeń i nastrojów przemijającego bezpowrotnie dzisiaj i przekazywaniem ich dalekiemu jutru. Toć gdyby nie epigramy pieczeniarza Marcjalisa, a u nas fraszki sobiepana Wacława Potockiego, nie wiedzielibyśmy jak się żyło w Rzymie I, a w Polsce XVII wieku. Jeżeli tedy przyznamy historii — choć nikt cudzym doświadczeniem nie był, nie jest i nie będzie mądry — istotną wartość dla życia, protest Klio przeciw zniszczeniu literatury byłby uzasadniony.

To, co się odnosi do liryczno-epicznych epigramatów i fraszek, przystaje jeszcze lepiej do wiernych swej epoce dramatów i ich scenicznej reprezentacji na teatrze, „którego przeznaczeniem, jak dawniej tak i teraz, było i jest służyć niejako za zwierciadło naturze, pokazywać cnocie — jej własne rysy, złości — żywy jej obraz, a światu i duchowi wieku — postać jego i piętno.

Ażeby teatr tak sformułowane przez Wyspiańskiego przeznaczenie swe mógł spełnić, potrzeba pieczołowitej nad nim opieki i rozsądnej ekonomiki w zakresie repertuaru. Dramat polski pieczołowitości takiej dziś nie zaznaje; przeciwnie pada od szeregu lat ofiarą bezmyślności lub specjalnej „polityki teatralnej“. Bo czyż nie dowodzi bezmyślności, że — mając własny narodowy dramat w dziełach Mickiewi-

cza, Słowackiego, Krasińskiego, Fredry i Wyspiańskiego, dramat potężny i przystający do oblicza polskiej rasy — nie zdobyliśmy się dotąd, po dwudziestu latach własnej państwowości! na stały, „żelazny repertuar“ dla sceny stołecznej, z której powinien rozbrzmiewać klasyczny polski język i promieniować polskie natchnienie? Czyż nie jest głupotą, iż społeczeństwo na dorobku będące, wyrzuca krocie¹⁾ na prezentowanie na swych scenach obcych zupełnie naszemu życiu elukubracji pp. Verneuil'ów, Bontempellich, Kaiserów, Bus-Feketych, Dymowów i im podobnych b a z g r a c z ó w, kiedy równocześnie — obok setek wybornych nieraz, a całkowicie na śmietnik makalatury wyrzuconych jednoaktówek — marnieją utwory sceniczne Chęcińskiego, Narzymskiego, Korzeniowskiego, Faleńskiego, Zalewskiego, Przybylskiego, Lubowskiego, Ruszkowskiego, Dobrzańskiego²⁾, a dziś już częściowo Blizińskiego, Bałuckiego, Rydla i tylu, tylu innych wcale nie gorszych, przeciwnie bezwzględnie lepszych od jakiegś Vicki Baum czy Werfla, przekładanych w niepolskich

¹⁾ Mały stosunkowo Kraków w budżecie na rok 1936, więc po restrykcjach i heroicznym skomprimowaniu samorządowych wydatków, wyasygnował i wydał na teatr Słowackiego 258.000 zł! Ten sam Kraków przed kompresją budżetów miewał w pozycji „teatr“ po 350.000 zł, nie będzie więc przesady, gdy przyjmiemy, że za wolnej Polski wydał trzy do czterech milionów złotych!

²⁾ Jak wielkie w ich sztukach tkwią jeszcze dotąd wartości teatralne, dowodzi wskrzeszony przez p. Osterwę „Fircyk w zalotach“ Zabłockiego, który wypełnił z górą sto kilkadziesiąt d o c h o d o w y c h wieczorów, dowodzi omieciona z pajęczyn przez p. Wysocką „Panna męzatka“ Korzeniowskiego, która wypełniła sale teatralne różnych miast kilkadziesiąt razy, dowodzi Kazimierza Zalewskiego „Przed ślubem“, która dała po wznowieniu jej w krakowskim teatrze trzydzieści kilka dobrych wieczorów a nawet taka słabiutka komedia jak Jordana „Myszy bez kota“, wydobyta z lamusa przez Grzymałę Siedleckiego, poszła za jego dyrekcji przez szereg wieczorów. Ale na to trzeba, ażeby dyrektorowie teatru mieli zrozumienie jego misji i ambicję istotnych b u d o w n i c z y c h rodzimego teatru i dramatu, której nie posiadają.

agencjach teatralnych przez tłumaczy, którzy z „świętyni żywego słowa“ robią rozgłosnię niechlujnego języka prasy brukowej lub miejsce popisu miłych dla ich uszu, ale dla polskiego słuchacza wstrętnych „szmoncesów“. Jak dalece już i w tej dziedzinie, dziedzinie kulturalnej, nie jesteśmy więcej u siebie, dowodzi incydent ze „Zburzeniem Jerozolimy“ Tadeusza Konczyńskiego. Sztuka pod każdym względem tęga, napisana z wrodzonym Konczyńskiemu nerwem dramatycznym i oparta na wnikliwych studiach historycznych, skoro znajomość ludzi i epoki pochwalił w niej europejskiej sławy uczony, prof. Tad. Zieliński, złożona została dyrekcji Teatru Polskiego w Warszawie. Dyrektor Szyfman, jakkolwiek osobiście zapalił się do sztuki, nie chciał o niej sam decydować i oddał ją lojalnie swoim doradcom literackim, pp. Gorczyńskiemu i Pomirowskiemu, którzy nader gorąco polecili sztukę do zagrania. Z kolei reżyseria i dekoratornia wykonały najstaranniej wszystko, co do nich należało, reprezentacja też wypadła doskonale. Atoli prasa żydowska i pokumane z nią dzienniki polskie — jakkolwiek „Zburzenie Jerozolimy“ nie ma w sobie ani źdźbła antysemitycznych tendencji — rzuciła się na sztukę i autora z taką zajądłością, że rzecz zdjęto z afisza i dopiero po wystąpieniu prof. Zielińskiego, ośmielono się przedstawienia kontynuować.

Nie lepiej przedstawia się tzw. „polityka teatralna“, której na stanowisku recenzenta miałem sposobność przyrzeć się bliżej. Obszerniejsze jej omówienie odkładał sobie na później; tu wystarczy przypomnieć głośny przed kilku laty konkurs dramatyczny m. Krakowa za dyrekcji p. Zygmunta Nowakowskiego z premiiowaną na nim „Niespodzianką“ Karola H. Rostworowskiego, „Wiosną ludów w zakątku“ A. Nowaczyńskiego i „Samuelem Zborowskim“ F. Goetla, w którym to konkursie —prócz śp. prof. Kallenbacha — wszystkie jego czynniki: dyrekcja, większość jury i autorowie rozminęli się świadomie z obowiązującą zawsze i we wszystkim fair-play.

Jakże więc w takich warunkach może się rozwijać rodzimy dramat polski? jak mogą przemówić ze sceny młode talenty, kiedy tę scenę opanowała albo protekcja albo zagraniczne przybłedy, forytowane przez pilnujące swego tylko interesu agentury teatralne? Książka tedy staje się niejednokrotnie jedynym refugium dramaturga polskiego i ona jedna zdolna będzie dać odpowiedź, gdy bliższe czy dalsze jutro rzuci pod adresem dzisiejszych literatów twarde pytanie: gdzieście wyście byli w latach 1870—1920, gdy po trzech powstaniach Polska krzepiła się w sobie i zwolna dojrzewała do wywalczonej wreszcie niezależności politycznej? czyście dostrzegli i dali wyraz podgłębnym myślom i nastrojom, nurtującym wówczas waszą Ojczyznę? dobre chwalili a złe potępiali? czy „służyliście za zwierciadło naturze? pokazywali cnotcie jej własne rysy, złości jej żywy obraz, a duchowi wieku jego postać i piętno?“ Niechże wtedy za odeszłych dawno w zaświaty pisarzy odpowiedzą zadrukowane czcionką karty: owszem, nie zbywało Polsce wtedy ludzi pióra, którzy to wszystko widzieli i jak umieli dali temu wyraz, lecz nie dbałe o sens teatru czynniki nie dały im spełnić ich misji. I oto pod takim kątem widzenia, gdy za lat kilkadziesiąt badacz naszych dziejów zapragnie wiedzieć jak na progu XX wieku wyglądała niesfałszowana wieś polska, jak nie znajdując nigdzie oparcia i pomocy „zalewała robaka“, a popadłszy w konflikt z kodeksem, traciła ziemię na rzecz obcego intruza — jak w szponach wódki, arendarza i żandarma natury bujniejsze marzyły wzorem Maryny Budyczki o lepszej doli, o daniu kształtu drzemiącemu w nich człowieczeństwu, — jak za mękę rozstania się ze wszystkim, co serce ukochało, szły na poniewierkę za morze, byle ocalić w sobie godność ludzką, wtedy sięgnie nie po romantycznych „Karpackich górali“ Korzeniowskiego, nie po czuwającą nad interesem obszarników „Emigrację chłopską“ Anczyca, nie po cikliwy sentymentalizm „Dla świętej ziemi“ Sewera, a tym bardziej po podszytą egotycznym kajaniem się „Kłątwe“

Wyspiańskiego, lecz po „Świat się kończy“ Kasprowicza, po „Niespodziankę“ K. H. Rostworowskiego, po „Burzę“ Kędziory oraz po sztuki ludowe Orkana i wtedy znajdzie się wśród nich także właściwe i należne miejsce dla „Na wymowie“. W tych sztukach bowiem, mniej czy więcej udolnie pochwyczone *in flagranti*, pulsuje tętno dążenia do „ślebody“, do której tęskni we „Franku Rakoczym“ wiejska biedota, pulsuje wola wdarcia się na wyższy poziom kultury i odegrania w odrodzonej Polsce tej roli, jaka się należy trzem czwartym ludności, dobywającej pługiem z ojczyznej ziemi lepsze jej jutro, — ta sama tęsknota, która przyświecała niestrudzonej a jakże nikczemnie skopanej działalności X. Stojalowskiego a dziś przyświeca Wincentemu Witosowi i tym wszystkim, co u kopca bohaterskiego Pyrza znaleźli się w Nowosielcach. Tylko wysiłek ich twardej garści może zapobiec, ażeby ziemia naszych ojców została przy nas, a nie przechodziła w ręce obce, często wrogie naszej tradycji i kulturze. Jeżeli w jednym tylko 1935 r. w ręce obce przeszło w samym tylko województwie lwowskim 300.000 hektarów najurodzajniejszej ziemi i takie wypieranie nas z ojczyznych pieleszy pójdzie dalej w tym samym tempie, może nadejść dzień, w którym wyparte ze swych odwiecznych siedzib niedobitki narodu — jacyś drudzy sascy Łużycanie — zapytają: jak się to stało, żeśmy na własnej ziemi w obcą popadli zależność i nieledwo w niewolę? to jedną z odpowiedzi na to pytanie znajdą w akcji i sytuacjach dramatu „Na wymowie“.

I oto powód, dla którego zgodziłem się, ażeby sztuka ta w trzydzieści przeszło lat po jej napisaniu ukazała się w książce.

Osoby:

MACIEJ BUDYKA, rolnik, lat 60

MARYNA, jego żona, lat 32

ZOŚKA, córka Budyki z pierwszego małżeństwa

JAGA, " " " "

WALEK SAMKÓW, zięć Budyki

GRZEŚ BUKAŁA, " "

PROBOSZCZ

BAZAN, sąsiad Budyków

KUBUŚ, jego syn

JASIEK KAWALEC, wyrostek

BARTUŚ, parobek Budyków

DIAK, dziad wsiowy

WALASKA, sąsiadka Budyków.

AKT I.

Izba o dwóch oknach w głębi. — W ścianie lewej pośrodku drzwi do sieni, na przeciw nich pod prawą ścianą piec bielony z kapą i kominem; za nim, w części tylko widne, łóżko z poduszką i pierzyną; przed nim, w tejże samej ścianie, drzwi do komory, z małym oszklonym okienkiem. — W głębi pod oknami ława niemal przez całą długość ściany, przed nią stół, w pobliżu pieca ławka. Między drzwiami z lewej a tylną ścianą szafa odkryta z półkami, na niej talerze, misy, dzbanki, flaszki, latarka. Po kątach trochę statku jak: cebrzyki, niecki, kijanka do prania, itp.; z lewej w proscenium toczydło z kamiennym brusem, na toczydle trochę przyodziewy. — Z pułapu zwisa „świat“ z opłatków i kolorowych papierów sklefony. — Nad oknami w górze szereg groszowych obrazów treści religijnej; przed środkowym ampułka. — We wszystkim widoczne ubóstwo, ale i ład.

SCENA I.

BUDYKA

(odziany w płócienne gacie i koszulę, bosi, z zarostem kilka dni niegolonym, siedzi na ławie w głębi i patrzy przez okno. Wychylając się).

Łatocha, nawróć się. Łatocha, heee! wrócisz się psia paro!... Jasiu, Jasiu!

Głos JAŚKA KAWALCA.

Coooo?

BUDYKA.

Nawróć Łatochę. Nie chce się paść kole domu, ino jej Walasowe żyto pachnie. — Nawróć mi ją, — dam ci pyknąć z młotka.

KAWALEC

(ukazując się w oknie). Dacie?

BUDYKA.

Co bym nie dał, — dam, na mój dusiu.

KAWALEC

(odstępując od okna krzyczy w głąb). O-he, bezkurecyjo, o-he!

BUDYKA

(pozierając za nim). A kijem-że ją, nie żałuj. Gziłaby się ino, sobacza...

(pauza)

KAWALEC

(wtykając znów głowę w okno). Zagóniłem.

BUDYKA.

No to chodź, dam ci pyknąć, ino nie mam siarników. Musisz ich sam poszukać. *(KAWALEC niknie za oknem)*. Zawdy je Maryna gdziesi zadzieje *(z lewej wchodzi KAWALEC)* a takie ci od północka mam bolenie w giczalach, co niech ręka boska broni. — Na psotę idzie.

KAWALEC.

Nijakiej nie będzie.

BUDYKA.

Będzie burza. — No chodź, tyś ta dobry chłopak. (*Dobrywa zza pazuchy glinianą fajeczkę na krótkim cybuszku*). Widzisz? — ino ognia do niej.

KAWALEC.

Najdzie się isierka w kominie (*idzie w stronę pieca*).

BUDYKA.

Gdzieby się nalazła od rania (*ukazując na ścienną szafę*). Poszukaj hań na półce, a jak nie, to gdziesz tu przy lampce. Pewnikiem zarzuciła, co bym nie mógł dostać. Zawdy mię tak ostawi samego, — nie pomyśli, co się nijak ruszać nie mogę, — ej-hej! hej, hej...

KAWALEC

(*myszując na dolnej półce szafy*). Ja bym ta moją babę takich śpasów wnet oduczył.

BUDYKA

(*dobrodusznie*). Oj, ty mleczaku, ty...

KAWALEC

(*przystawszy szukać w szafie i biegnąc po ławie w głębi ku ampułce*) Tam ich nie ma, chyba tu... Są, są! (*zeskakuje z ławy przed Budyką*).

BUDYKA

(*z głuchym jękiem*). A bodaj cię!... Jezu, Jezusie... (*chwycił się za owinięte szmatami kolana*).

KAWALEC.

Trąciłem was?

BUDYKA.

No, no, nie chciałeś przecie. Tyś ta dobry chłopak.
— Dajże siarnika, abo sam zakurz. (*widząc, że się ociąga*).
No, no, niechże ta, zakurz, kiej ci mówię.

KAWALEC

(*przyłożywszy płonącą zapalną do fajki*). Nie ciągnie.

BUDYKA.

Co by nie ciągnęła, ino pary nie masz.

KAWALEC.

No, nie ciągnie (*oddaje mu fajkę*).

BUDYKA.

Co by nie ciągnęła. (*rozpaliwszy fajkę*) No né, pyknij i ty.

KAWALEC.

Eh, już ja ta wolę papirusa (*wydobywa z kieszonki niedopalek*).

BUDYKA.

Ho, ho, toś ty pan.

KAWALEC.

Karbowemu wypadł w błoto.

BUDYKA.

To nijakiej mocy nie ma.

KAWALEC.

No, co by miało — *(przez chwilę palą obaj w milczeniu)*.

BUDYKA.

Dużo już z południa?

KAWALEC.

Będzie pięć godzin, jak nie więcej. *(pauza)* Boli was jeszcze?

BUDYKA.

No, no, nie chciałeś, przecie. Tyś ta dobry chłopak. *(wstał z trudem, z barłoga w tóŜku dobył okrągłe, gro-szowe lusterko)*. Kiedysi tu pani poczciarka była u nas i zgubiła w sieni. Ne, weźmij se to.

KAWALEC

(przeglądając się w lusterku). Takie maluśkie i jakiesi puklaste, a całą twarz w nim ujźry. — Smyślne.

BUDYKA.

No, wiadomo, pańskie. *(nagle słysząc za sceną gniewny głos WALASKI)*.

Głos WALASKI.

A ty hamanie sakramencki! A bijże ją gdzie dopadniesz! A to haman sakramencki!... *(słysząc w dalszym ciągu wrzaski)*.

BUDYKA.

Idź-no, idź Jasiu. — Utrapienie z tą gadziną.

KAWALEC.

(*spojrzawszy przez okno*). W żyto wlażła.

BUDYKA.

Syków?

KAWALEC.

A ino.

BUDYKA.

Po teli czas już się napasła. Idź-no, idź i zagón.

(*KAWALEC wybiega, w oknie ukazuje się głowa WALASKI*).

WALASKA.

A bodaj was wciórnaści z waszą krową. A co wy se myślicie, hę? a myślicie, co was nie będę szkodować? A będę, ma sie wiedzieć, co będę.

BUDYKA.

Pilnujcie waszych kur, co by mi nie lażyły w pszenicę.

WALASKA.

A zechlały wam cały zagon, hę? zechlały? Wściekle choroby!

BUDYKA.

Syki!

WALASKA.

Moje kury! — patrzcie go, krówski ogón.

BUDYKA.

Stulcie gębę, bo jak wstanę... (*wstał postępując, chwytając się za kolana*).

WALASKA

(*po pas wciskając się w okno*). Co stulcie? kto stulcie? A to nie zechłwały?

BUDYKA.

Moją pszenicę.

WALASKA.

A wasza Łatocha to nie? poźryjcie ino. Jak — nie daj Boże — po gradzie. Mało cholerze, co zeżre w polu, jeszcze w raciach zabiera do obory... (*ze zwróconą w pole głową*). Józek! pójdziesz po wójta, co by przyśli i szkodę obejźreli.

BUDYKA.

Zaraz wójta... Dalibyście pokój, Walaska —

WALASKA.

A ja go mam od was?

BUDYKA.

Toli wiecie, co nijak nie mogę chodzić.

WALASKA.

Co bym nie wiedziała. A jeszcze lepiej wie Maryna, jaki z was niezgulak.

BUDYKA.

Nie darmo zwał was Syki.

WALASKA.

A was krówski ogón. Ino się ta płątacie, a Marynie w to graj.

BUDYKA.

Niechajcie moją Marynę.

WALASKA.

Co bym jej nie niechała, co mi do niej. Ja nie Bartuś.

BUDYKA.

A on wam co wadzi?

WALASKA.

Mnie nic, ale Marynie może ta gdzie i w co już uwadził. Bartuś walny chłop. Brzemie siana weźmie i z Maryną naokrak. A Maryna nie od tego, a jej co po krówskim ogonie.

BUDYKA.

Ja wam tu powiem! *(sycząc z bólu zmierza ku oknu)*.

WALASKA.

Przed wójtem se pogadamy, przed wójtem... *(cofa głowę i znika)*.

BUDYKA.

Hej, co by nie to darcie, co by nie to darcie... Sprął bym psią parę do siności... Syki pyskate... *(siada na*

łóżku tuż przy oknie). No, będą szkodowali. A to nie może Maryna przywiązać bydłęcia? (pauza). Będzie psota, — nic ino na psotę to darcie... Skaranie boskie... (słychać dzwon, — BUDYKA z westchnieniem odkłada fajkę na fustrynę okna, żegna się i odmawia pacierz. Słychać gwizdaną przez BARTUSIA piosenkę; po chwili drzwi otwierają się szeroko; pogwizdując wchodzi do izby).

SCENA 2.

BARTUŚ

(obcierając twarz z potu). Pu!

BUDYKA.

Taki gorący?

BARTUŚ.

Parzy, co jej...

BUDYKA.

Na psotę.

BARTUŚ.

Może... (pije z wziętej spod komina konewki, — pauza)

BUDYKA.

Dużo wam jeszcze zostało?

BARTUŚ.

Kawalce dziś zwożą i nie chcą dać kónia. Bez pojutrze zwiezłoby się... Pu! dla bydłęcia taka robota. Domordowałem się do siódmego potu.

BUDYKA.

O, o! domordował się jednym brzemieniem.

BARTUŚ.

Ale wam dobrze siedzieć w chłodku.

BUDYKA.

Myślałby kto, że tu nie ja, ino ty gospodarz.

BARTUŚ.

Gospodarstwo, psia krew!... Robić rób, a opatrzenia nijakiego. Żreć nawet nie dadzą na porę. — Dajcie choć skrętki zakurzyć.

BUDYKA.

Kup se u Lejby.

BARTUŚ.

Kiej mi się nie chce.

BUDYKA.

To nie kurz.

BARTUŚ.

Kiej mi się chce.

BUDYKA.

To se radź.

BARTUŚ.

A właśnie. Nie mam to waszego młotka? (*bierze z futryny okna fajkę Budyki*).

BUDYKA.

Położ to skąd'eś wziął.

BARTUŚ.

E-o! (*ssie u cybuszka, by fajkę rozjarzyć*).

BUDYKA.

Pókim dobry.

BARTUŚ.

Co mi zrobicie? (*podśmiewa się z bezradnego*)

BUDYKA.

Co ja ci zrobię?

BARTUŚ.

No co?

BUDYKA.

Gnaty zprzetącam! (*podnosi się i z jękiem chwytą za kolana*).

BARTUŚ.

Musielibyście zdoleć.

BUDYKA.

Zprzetącam (*sycząc z bólu idzie ku niemu z wielkim wysiłkiem*).

BARTUŚ.

(*ledwo że ledwo umykając się, drwiąco*). Na mój dusiu, dobrzeście ją nabili, ino za tego.

BUDYKA.
Bartuś, nie bądź podufały.

BARTUŚ.
Widzicie, com nie kupił u Lejby, a kurzę se.

BUDYKA.
Słuchaj, Bartuś.

BARTUŚ.
Kurzęcy se słucham.

BUDYKA.
Słuchaj, bo jak cię dopadnę...

BARTUŚ.
(*wyciągając ku niemu rękę z fajką*). Ano, weźcie mi ją.

BUDYKA.
(*chwytając go za rękę*). Oddaj!

BARTUŚ.
Weźcie.
(*we drzwiach ukazuje się MARYNA BUDYCZKA; zesu-
nawszy przez głowę węzeł chusty od brzemia z koni-
czem, poprawia chustkę na głowie*).

BUDYKA.
Oddaj, mówię ci, ty włóczykiju...

BARTUŚ.
Kiej mi się nie chce.

BUDYKA.

Oddaj, psia paro!... (*chwyta go za gardło*).

BARTUŚ.

(*zdławionym głosem*). No!...

SCENA 3.

MARYNA.

(*pryskakując do szamocących się*). Puść go, Maciek. Co masz do niego? słyszysz? (*BUDYKA puszcza BARTUSIA*). Maciek, weź baczenie, bo ja wam dwom dam rady.

BUDYKA.

A cóż on tu z pyskiem do mnie? Jeszcem tu ja gospodarz.

MARYNA.

(*z bolesną ironią*). A cóż ty robisz, gospodarzu? Siedzi i chleje, a czasem se zakurzy. Parobkowi do gardła, to hej, ale ognia na warzenie naczynić — gdzieby zaś!

BUDYKA.

A to nie zadziałaś kajsi siarników?

MARYNA.

Ale zafajczyć miałeś czym, nicpotem.

BUDYKA.

Jasiek Kawalców zajrzał na mnie przed oczymieniem i pomógł krowę zagnać.

MARYNA.

A to sameś nie mógł?

BUDYKA.

Strasznie mię dziś wierci w giczalach.

MARYNA.

Retyści! Mnie krzyże niewiele a spadną się i muszę robić. A on nie może.

BARTUŚ.

(który tymczasem śladł koło komina). Wiadomo, nicota...

BUDYKA.

Zamknij gębę.

BARTUŚ.

(pod nosem). Nicota.

MARYNA.

Cichaj, cichaj.

BARTUŚ.

Nicota i tyło. No, bo co z was więcej?

BUDYKA.

Ale mój chleb jesz!

BARTUŚ.

(zły). Nie widziałem go od rania, krówski o...

MARYNA.

(która krzątała się koło komina, odwraca się i wymierza BARTUSIOWI siarczysty policzek). Co! a ty se tu kim będziesz gębę wycierał, hę?

BARTUŚ.

(chwytając się za twarz). Za cóż wy mnie bijecie?

MARYNA.

Ja ci powiem, za co! Tu masz, chlępnij mleka i razowca.

BARTUŚ.

To ci obiad, jak u dziadów.

MARYNA.

Obetrzeć ci gębę z drugiej strony? obetrzeć? — Nie ma czasu na warzenie. — Będę ci czekać, aż mi Kawalce raczą kónia dać, jużci! Dziś pod dach zniesiemy sami.

BARTUŚ.

Ja nie kón.

MARYNA.

Psota będzie, musisz. *(tagodnie)* No jedz, jedz, Bartuś, a duchem. Kupię ci za to tabaku u Lejby, całą skrętkę, no, na mój dusiu. Jedzże, jedz. Ino wydoję, le-cimy wraz. Trza łapać, co suche. *(ze skopkiem wybiega).*

SCENA 4.

BARTUŚ.

(żując chleb i poplajając mlekiem). Służba, psia krew...

(pauza).

BUDYKA.

Poskładaliście w kopy?

BARTUŚ.

Idźcie pojeść.

(pauza).

BUDYKA.

Może jako wydolecicie dzisiak?

BARTUŚ.

(wciąż mrukowato). Ino nam jeszcze po dwie ręce dodajcie. *(zabiera jadło i wychodzi drzwiami w lewo).*

SCENA 5.

BUDYKA.

(sam). Pyskaty, pyskaty... Ino go osłowić, zaraz wérczy. — Wyścigać go?... Sama by nie poradziła wszyckiemu... *(przesiadł się z łóżka na ławę pod oknem).* Łazarz, łazarz... *(spojrzawszy w okno).* He, jak się macie, kumie?

Głos BAZANA.

Dziękować Bogu. A wy? *(ukazuje się za oknem).*

BUDYKA.

Jednako. — Do lasa idziecie?

BAZAN.

Do Klamki, do Jaśka. Zawzianem siekierę, bo mię prosił, co by mu studnię naprawić. Od wiesny cembrowina spada mu do wody.

SCENA 6.

MARYNA.

(*wbiegając*). A cóżeś ty Łatosze zrobił, człeku? a cóżeś ty jej zrobił?!

BUDYKA.

Co bym jej miał zrobić.

MARYNA.

Ah, żebyś ty już raz był w ziemi, żebyś raz już do niej poszedł.

BAZAN.

Jak wam nie wstyd tak mówić.

MARYNA.

(*teraz dopiero spostrzegając BAZANĄ*). Co ja z tym chłopem mam, co ja z tym chłopem mam, dla Boga, dla Boga! Roboty nijakiej nie może, pomóc nie może, — przecieć się nie ozerwę. Chory jest, — niechże choć krowinę pasie. Upaś!

ci ją!... A to ci gadzina zła, co cię żywi? a to ci zła, co zdrowa i piękna? No, słyszeliście co takiego, — bydlęciu oko wybić!

BUDYKA

Musił ją Józek Syków skalęć.

MARYNA.

Co Walasom do nas? co ma Józek Syków do mojej Łatochy?

BUDYKA.

Wlazła im w żyto i będą szkodować.

MARYNA.

Ja będę szkodować, ja, ja na nich, — w mieście będę szkodować!

BAZAN.

I cóż w sądzie wygracie? honór?

MARYNA.

Abo i kilka srebrnych.

BAZAN.

To bydlęciu oka nie wróci.

MARYNA.

Oj, nie wróci, nie wróci... Aby jej ino bez to mleka nie ubyłó (*zabierając się do rozpalańia ognia na kominie*).

Co ja z tym chłopem mam, dla Boga, dla Boga! — Urób się, umorduj, nagoń, naharuj, no i co z tego mam? co z tego mam? Kole domu jednej krowy nie dojźry.

BAZAN.

Zdrowia, widzicie, nie ma.

MARYNA.

Oh, żebym go już raz na gnój mogła wynieść..

BUDYKA.

Tybyś to chciała, Maryna.

MARYNA.

Bo już nie wydolę nijak. Podatki płąć, chłopu-gnoja żyw, parobka żyw...

BUDYKA.

A parobka pilniej niż chłopu.

MARYNA.

Bo robotny, bo robi za siebie i za ciebie.

BUDYKA.

Bacz ino, co by on wszyckiego za mnie nie robił.

MARYNA.

A cóżeś ty, plątało, wart?

BUDYKA.

Bacz ty na to, bo ja patrzę...

MARYNA.

Byłeś durny, ta i jesteś... Będziesz co jadł?...

BUDYKA.

Nie chce mi się...

MARYNA.

Widzicie? Jeszcze go grzecznie proś, co by se pojadł.

BAZAN.

Toście dziś nie obiadowali?

MARYNA.

Mam to czas? Od rana siano obracam. Chmura się i trza się zwijać.

BAZAN

(*do Budyki*). Nie mogłaby Zośka przyjść wam pomóc?

BUDYKA.

A puszczą to ją z wyrobku?

BAZAN.

Mówiła mojej wczoraj, co tu dziś zajrzy na was.

MARYNA.

A cóż ona tu chce? Ona nie ma tu co robić.

BAZAN.

No, jako córka...

MARYNA.

Nie chcę jej, ani towarzystwa z nimi. Ma swego Walka, niech se go pilnuje, my się tu bez niej obędziemy. — Ale nie czas na pogwarke, kie robota w polu stoi.

BUDYKA.

A toć zjedz co pierwiej.

MARYNA.

Patrzaj ino, co by ci mleko nie wykipiało, o mnie się nie staraj. (*otwiera drzwi w lewo*). Bartuś, bierz płachtę. Idziewa (*wychodzi*).

SCENA 7.

BAZAN

(*poglądając w pole za wybiegłą Maryną*). Ino się za nią kiecki fértają, pojźryjcie.

BUDYKA

(*nie bez dumy*). No, baba jak rzepa. Bukową sajtę na kolanie ino raz! i złamie.

BAZAN.

Żeby to moja była taka, tobym dziękował Bogu.

BUDYKA.

Raczej dziękujcie co jej nie macie. Bylibyście jak ja, łazarz.

BAZAN.

A cóż ona winna waszej chorobie?

BUDYKA.

Wszystko bez nią na mnie przyszło. Zacheiało mi się drugiej baby i nowych izbów dla niej. Mieliśmy na działach kilka świercków. Śnieg już był, poszedłem ściąć. Rosło na zbyrku, że go z góry nijak rąbać, musiałem z dołu. Ukłakłem na śniegu. Dobrze było ciąć, alem golenie het przemroził. W nocy spuchły mi jak dynie i wciąż takie baniaste. A bolą! A jeszcze jak na psotę, Jezusie ratuj!

BAZAN.

Trza na to jako radzić.

BUDYKA.

Diak mi maści nosi.

BAZAN.

On pono umie nogi naprawiać, ino je kazuje za dużo w gorzałce kąpać.

BUDYKA

Jeszcze mi ni nie kazował...

BAZAN.

Ja wiem, ino się tak śmieję, co każde jego lekanie bez gorzałki się nie obywa.

BUDYKA.

Lubi się napić, co prawda, to prawda.

(drzwiami z lewej wchodzi ZOŚKA).

SCENA 8.

ZOŚKA.

Pochwalony.

BAZAN.

No, nie mówiłem? — Na wieki.

ZOŚKA.

Jak się macie, tatusiu? *(całuje go w rękę).*

BUDYKA.

Jak zawdy. Stękam i stękam. A u was co słychać?

ZOŚKA.

Jednako.

(pauza)

BAZAN.

A Dziopak jak się miewa?

ZOŚKA.

Dzięką Bogu zdrowieje pomału, ino zaś Samkową chrześnicę cosi w nogę użarło i po brzuch zapuchła. — Pewnikiem źmija.

BAZAN.

Ino w maślance moczyć, to wyciągnie i stęchnie.

ZOŚKA.

To też moczą. —

(pauza).

BAZAN.

Nie widziałyście po drodze, rozbierają studnię u Klamki?

ZOŚKA.

Cosi tam robią.

BAZAN.

Beze mnie nie poradzą. Pójdę, bo jeszcze mogłoby kogo przysypać. — Pozdrówcie ode mnie Walka, a wy, kumie, ostańcie z Bogiem.

BUDYKA.

Boże was prowadź. A zajrzyjcie znów wkiedy na mnie.

BAZAN.

No, no, zajrę... (*znika za oknem*).

(*dłuższa pauza*).

BUDYKA

(*nieco podejrzliwie*). Cóż cię tu przyгнаło?

ZOŚKA.

...Co by miało... O, mleko wam wyleci... (*podbiega do komina i odsuwa garnek*) Macocha pośli?

BUDYKA.

W pole do siana.

ZOŚKA.

Sama?

BUDYKA.

Z Bartusiem. A bo co?

ZOŚKA.

Nic, tak się ino pytam. Ku Brzezówce?

BUDYKA.

A ino. A bo co?

ZOŚKA.

Nic...

BUYKA.

Co nic? Cóż ci gęba zarosła?

ZOŚKA.

Co by mi miała zarosć...

BUDYKA.

Słuchaj, Zośka!

ZOŚKA.

Co?

BUDYKA.

Słuchaj Zośka! ja wiem, co se ty myślisz.

ZOŚKA.

A nie wiecie.

BUDYKA.

Wiem.

ZOŚKA.

Że się macocha z Bartusiem bośkają? Ja wam na to przysięgnę, co nie. Jest ci tam jeden pilnowacz od niej. Ino se poziera z lasa i na wszystko uważuje.

BUDYKA.

Po coś tu przyszła? staremu mieć życie? starego truć?

ZOŚKA

(z widocznym smutkiem). Każdy ma swoją truciznę, — hej, ma!... Tatusiu, ja was przyszła prosić...

BUDYKA.

O co?

ZOŚKA.

Cobyście...

BUDYKA.

Toli gadaj.

ZOŚKA.

Przyszłam was prosić, cobyście...

BUDYKA.

No, nie zarosła ci gęba?

ZOŚKA.

Przyjdzie tu Jaga ze swoim i mój Walek też. No wiecie, skróny tego przepisania.

BUDYKA.

A ja co będę jadł? Twój zdrow, Jagi zdrow, wyście
obie zdrowe, a ja co będę? kamienie gryzł?

ZOŚKA.

Wy na to nie przystańcie, tatusiu.

(pauza, — zwolna mrok zapada).

BUDYKA

(zdziwiony jej prośbą). A dla.. cze.. go?

ZOŚKA.

No, nie przystańcie.

BUDYKA.

Jużci nie przystanę — *(po chwili)* A dlaczego nie
chcesz?

(Zośka milczy).

BUDYKA.

Czyście ka jaką dziedzinę wzięni? To by ci na mor-
gu siać źle było, hę?

ZOŚKA.

Nie mówię o gruncie.

BUDYKA.

No, więc co?

ZOŚKA.

Nic.

BUDYKA.

To ci u Dziopaków lepiej siedzieć na wyrobku?

(Zośka milczy).

BUDYKA.

To wolisz na wyrobku u obcych niż u ojców?

ZOŚKA.

Nie samiście tu.

BUDYKA.

E, jakie to złe, psia para. „Nie samiście tu”!.. Chciało mi się ożenić i ożeniłem się, wiesz.

ZOŚKA.

Toście się ożenili. A dużoście wiana wzięni?

BUDYKA.

A dużom wam dał, tobie i Jadze?

ZOŚKA.

To też dziadujemy.

BUDYKA.

No, to bez co nie chcesz tego przepisania?

ZOŚKA.

No, nie chcę.

BUDYKA.

A właśnie, że przystanę.

ZOŚKA.

Nie lepiej jak ten grunt przyjdzie na nas dziedzictwem.

BUDYKA

(zły). Jeszczem żyw!

ZOŚKA.

Jako chcecie. Ale na wyrobek do was nie pójde.

BUDYKA.

To idź do żyda, jak ci tu źle.

(*wchodzą JAGA, jej mąż BUKAŁA, potem WALEK, mąż Zośki.*)

SCENA 9.

JAGA

Witajcie, ociec.

GRZEŚ.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

BUDYKA.

Na wieki... Cóż słychno?

GRZEŚ.

Co by było.

JAGA.

Robota i bieda, tyle słychno.

BUDYKA.

A ty, Grześ, przy niejkiej robocie?

GRZEŚ.

Po niedzieli zacznem żyto siec.

BUDYKA.

To już dośpiało? — Człek tu siedzi niejkiej w jamie,
to i światu nie widzi. Będzie psota.

GRZEŚ.

Jak Bóg zechce, to będzie.

(pauza)

JAGA.

Macocha doma?

BUDYKA

Na Brzezówce siano z Bartusiem obraca.

JAGA

(zjadłwie). Na sianie miętko.

ZOŚKA

(wybuchowo). Wypróbowałaś?

JAGA

(urażona). Do ciebie gadam?

ZOŚKA.

Ale ja do ciebie gadam.

JAGA.

A ty co masz do mnie? a widziałaś mię? (*przyskakuje do niej*).

GRZEŚ

(*rozwodząc je*), Co wam? Zawdy ino obraza boska. A Pan Bóg widzi wszystko, wszystko wie. Przed Panem Bogiem nic się nie ukryje.

JAGA.

Ani próżniak.

GRZEŚ.

Ale na wszystko jest wymodlenie. Siedemdziesiąt i siedem razy bez dzień nawet sprawiedliwy upadnie, a nie dopiero człowiek grzeszny. Na wszystko jest wymodlenie, a jużci. A to ci powiem przykład, co mi w Kalwaryi jeden pustelnik opowiadał. Możecie się go spytać, bo słyszę, co jeszcze żyje i siedzi jak siedział w jamie. — Korzonki ino je i modli się bez dzień, bez noc, a to skroś tego, że jak był młody, tak ciężko, śmiertelnie zgrzeszył. Tak mu się na śnie pokazał wilk. Z oczu mu ogień buchał, a z paszczęki piana. Tak on poczuł, że to musi być Zły i zaczął niby to we śnie uciekać przed nim. A wilk nic, ino go goni a goni...

(*z lewej strony wchodzi WALEK SAMKÓW*).

SCENA 10.

WALEK.

Witajcie. — Rychtyk pod dach, bo już zaczyna pokrapiać.

BUDYKA.

Domoczy nam i tę odrobinę.

WALEK.

Macocha się tam uwijają, ale próżno. Bieda tak we dwoje, a jeszcze z parobkiem nicpotem, — skapiecie lada rok.

BUDYKA.

To na swoim.

WALEK.

Najlepiej na wyrobku. Kłopotu nijakiego. Swoje rób, a w sobotę fasuj. Wykubkują pan rzońca: są trzy siągi, wykubkuje niemiec psubrat: już ich trzy bez ćwierci, — mór na nich! Ale jakeś zrobił, to ino fasuj, jak césarskie dziecko. A ino — *(dobywa papierosa i zapala — Pauza)*. Cóżeście wszyscy milczka zjedli?

ZOŚKA.

Za to tyś howorny.

WALEK.

Wadzi ci to? — nie do ciebiem howorny.

(błyska się, wszyscy prócz WALKI żegnają się).

BUDYKA.

Zaświeć, Zośka, światło u obraza.

(ZOŚKA wstaje, zapala amputkę, JAGA wyziera przez okno i zamyka je. BUDYKA znów się żegna i zaczyna mówić pacierz. WALEK podchodzi do GRZESIA, który usiadł na ławce koło komina, i trąca go nieznacznie).

WALEK.

Gadaliście co ze starym?

GRZEŚ.

Czekaliśmy na ciebie.

WALEK.

Słusznie. *(odstępuje od niego, dobywa flaszki z kabatu)*. Ojciec, przyniosłem tu coś dla was.

ZOŚKA.

Znać, co dzisiaj sobota.

WALEK.

Garści od siekiery nie czuję, jeszcze bym się nie napił? — Do was, ojcze. *(podchodzi doń z flaszką)*.

BUDYKA.

Nie chcę. Jak masz, to mi cygar daj, bo mię cni.

WALEK.

Nécie papierosa. *(daje mu papierosa i ognia od swego, potem pije)*. Nie macie kieliszka?

BUDYKA.

Jest, ale Maryna zawdy gdziesi zadzieje. Jest i gorzałka, ale nie dla mnie, ino na juczne dla Bartusia.

GRZEŚ.

U was to tylko za parobka być.

BUDYKA.

Już ja bym ta was za czeladź nie chciał mieć.

JAGA.

Szkoda, bo byłoby się do czego przyżenić, jakby ojciec zamkli oczy.

BUDYKA.

A bodaj ci język sparszał, ty, ty! (*sili się powstać*).

WALEK.

Dajcie pokój, ojciec. Napijcie się, no, napijcie... Aby raz, toż to nie trucizna.

BUDYKA

(*ochłonawszy z uniestenia*). Pokaż. — (*pije z flaszki, tymczasem WALEK staje na ławie i zdjawszy z niej za obrazem ukrytą flaszkę z wódką stawia na stole*).

WALEK.

Jest kieliszek, a i kanciatka (*podchodzi do BUDYKI*). Napijcie się ojciec.

BUDYKA

(*otrząsnąwszy się*). Piłem.

WALEK.

Powiadam wam, napijcie się, zaraz wam ulekczy. (*do GRZESIA*). A ty będziesz pił?

GRZEŚ.

To jeszcze nie wiesz, com ślubował?

WALEK.

Ja ta nie ślubował i tak myślę, co w pocziwej kompanii, jako to we famieli, jeden kieliszek nie grzech.

BUDYKA.

No jużci, jeden nie jest nijaki grzech.

WALEK.

A drugi ino krzepi (*nalewa i podchodzi do BUDYKI*).

BUDYKA

(*nie przyjąwszy podawanego kieliszka i popiwszy z butelki, którą WALEK przyniósł, a której z ręki nie wypuścił*). A prawda, że krzepi.

WALEK

(*z kieliszkiem w rękę, do JAGI*). A ty Jaga?

JAGA.

Pijcie, pijcie.

WALEK.

Starczy dla wszystkich (*podchodzi do JAGI, podaje jej kieliszek nalany, JAGA zaślониwszy się fartuchem, wypija. — pauza*).

BUDYKA.

Hu, cieplej w kościach.

WALEK.

A nie mówiłem? — a po trzecim oczy się ozwierają.

BUDYKA.

Tu mię cni, — tu...

WALEK.

Po trzecim ustanie.

BUDYKA.

Ustanie? (*wypija z flaszki resztę — chwila milczenia*)
(*za oknami dalekie jeszcze i słabe błyskawice*).

BUDYKA

(*powstając z łóżka*). Lekceją mi w giczalach i nie tak dre.
Nie warzyli my obiadu, jużynym nie jadł i zesłałem do-
krzty. Ale teraz... Ino mi dajcie Bartusia, psią parę...
Ino mi go dajcie!... (*do WALKI*) Masz jeszcze kapkę?

ZOŚKA.

Dosić, dość tatusiu.

JAGA.

Żałujesz ojcu? — a ja bym nie żałowała.

BUDYKA

(*biorąc kieliszek z rąk WALKI*). Tyś był zawdy dobry
dla mnie, Walek.

WALEK.

Toć'eście ojciec. — Ino waszej Maryny nie mam rad
(*silna błyskawica*).

ZOŚKA

(*pod adresem męża*). Judasz śróbrniki liczy...

WALEK

(*ze złością*). Przeżegnaj się, miasto językiem mleć. Jeszczem nic mądrego z twojej gęby nie słyszał. — No, ojciec, wypijcie ostatek.

BUDYKA.

Dawaj...

(*WALEK nalewa resztę do kieliszka, błyska się, — BUDYKA już pijany nie może donieść kieliszka do ust*).

ZOŚKA

(*chcąc mu go odebrać*). Nie pijcie, tatusiu, dość macie.

BUDYKA.

A mam! Gruntu — mało chyba — dwa morgi, izby też, a i chlewek. Wszystko moje (*uderza pięścią w pierzynę*) moje! (*odrzucając na izbę kieliszek*) Małom was wywianował, to wywianuję jeszcze...

JAGA

(*podbiegając i całując go w rękę*). Aby po dwa zagonki.

WALEK.

Jako ojciec chcą.

BUDYKA.

Miałby jaki włóczykij, dziadowska torba...

GRZEŚ.

No właśnie.

BUDYKA.

Z pyskiem do mnie, do gospodarza, dziadowska torba... (*pauza*) A ty, Zośka, czemu nie chcesz?

ZOŚKA.

Co nie chcę? Co zrobicie, to będzie. Przepiszecie, to będzie przepisane.

BUDYKA.

A przepiszę...

JAGA

(*całując go w rękę*). Tatusieczku, będzie wam u nas jak w niebie. Jak to Bałuki na wymowie u dzieci siedzą, a nie dobrze starym?

ZOŚKA.

Bo starzy, a Maryna dużo starsza od ciebie?

WALEK

(*odciągając ją na bok*). Słuchaj, Zośka, ino raz gębę otwórz, a porachuję ci zęby palicami. Ino raz!

ZOŚKA.

Pachnie ci w jednych izbach z Maryną siedzieć.

WALEK

(*zbitły z tropu*). Idź - że, głupia!

ZOŚKA.

Za toś ty mądrał. — Nie będzie z tego nic.

BUDYKA.

A ty, Zośka, dlaczego nie chcesz?

ZOŚKA.

A cóż tak na mnie nacieracie? Co zrobicie, to będzie.

BUDYKA.

A przepiszę!

JAGA.

Przepiszcie, tatusiczku. Wszystko wam odrobimy jak sobie, abo i lepiej. Bo choć macocha robotna...

BUDYKA.

Ooo, robotna i jak jeszcze...

JAGA.

No robotna. A i Bartuś, bo liczy już jako swoje.

BUDYKA.

Wszystko tu moje!

JAGA.

No, wasze. A jak przepisiecie, będzie też do nie daj Panie Boże śmierci wasze, ino co my na tym będziemy robili. Dziecków nie mamy, nie będziemy wam wadzić. Ino kął na barłóg. Bartusia odprawicie, i czworo nas będziecie mieli za jednego parobka.

BUDYKA.

Dla niego zawdy ma juzynę, a i masną. Jużci że przepiszę, ale z wymowy nic.

WALEK.

No, my się ta nie napraszamy. Abo to na wyrobku źle? swoje rób, a fasuj jak césarskie dziecko.

BUDYKA.

A-ha! to chcecie mię ostawić z Maryną i tym włóczykijem? A właśnie chcę wymowy.

GRZEŚ.

Ino przepiszcie, a resztę to już Pan Bóg.

BUDYKA.

Resztę Pan Bóg, to się wie... Powiedziałem, co przepiszę, to przepiszę. Na św. Michał odpust w mieście... Przepiszę, a jużci. A cóż on mi tu będzie młotek z ręki wydzierał? Przepiszę, a Marynie nic...

(chwila milczenia).

ZOŚKA.

(która podczas powyższej rozmowy pozierała przez okno, podchodząc do BUDYKI). Ostańcie z Bogiem, tatusiu.

WALEK.

Śpieszno ci?

ZOŚKA.

Mam tu nocować? — już ciemno.

WALEK.

Ostań!

ZOŚKA.

Wyjrzyj oknem, czy Bartusia już nie widać za wodą (*wychodzi*).

WALEK

(*półgłosem*). Grześ! Jaga! zbierajcie się. Bartuś idzie.

GRZEŚ.

Pójdźmy. — Z Bogiem, ojciec.

BUDYKA.

Posiedźcie. — Na deszcz idzie.

JAGA

No właśnie, — póki mały, trza do chałupy. — Tak to już pewnikiem na św. Michał, tatusiczku?

BUDYKA.

Ja bym i przódziej, co by nie te nogi.

GRZEŚ i JAGA (*wychodzą*).

WALEK.

Już my wam w półkoszku wymościmy miętko.

BUDYKA.

Zawdyś był dla mnie dobry, toż cię rad widzę (*obejmuje go*).

WALEK

(kładąc go na poduszki). Ja was też. Ale połóżcie się, ojciec, bo was zemgli.

BUDYKA.

Nie chce mi się jeszcze spać.

WALEK.

Zaśnecie, ino się połóżcie. — Dobranoc *(wychodzi).*

BUDYKA

(za odchodzącym) Dobranoc i tobie... *(naciąga pierzynę, mamrocząc przewraca się na łóżku. — Prócz amputki przed świątkiem ciemno w izbie. — Po chwili wchodzi z lewej Bartuś. Brzemie siana rzucił w sieni, wszedłszy otrzepuje z wody rękawy koszuli).*

SCENA 11.

BARTUŚ.

Dojeno do skóry... *(błyśka się raz i drugi)* Służba, psia krew! Cięgiem ino rób i rób... *(szukając na półkach ściennej szafy w lewo i nie znajdując)* A gdzież ją ona zadziała? *(węszy w powietrzu, poznał)* Zechlał sam, nicota... Służba, psia krew! *(szuka zapalek na kapie komina, nie może nadybać)* Ani siarnika, ani łojówki.. *(szuka iskierki ognia na palenisku. — Błyśka się)* Dziadygi...

(drzwiami z lewej, również złana deszczem, wchodzi) MARYNA, — *brzemie siana ciska na środek izby).*

MARYNA.

Cóż tak ciemno? — nie ma gasu?

WALEK.

Będę go wam teraz szukał.

MARYNA.

Toć jakie pół litry było jeszcze... (*wodząc ręką po stole napotyka flaszkę z wódki*) A ktoś ją tu postawił? (*wącha*) To nie z gasu, z gorzałki... Zechlał... Ale jak on ją z półki dostał?... (*nadybawszy na stole zapalki, zapala ogarek świeczki, przylepiony do kapy komina*).

BARTUŚ.

Jeść mi dajcie.

MARYNA.

Musisz krzywą poczekać.

BARTUŚ.

Głód nie czeka, a głodnym.

MARYNA.

Ino oczymienie, pokąd czego nie uwarzę.

BARTUŚ.

Jutro mnie tu nie ma!

MARYNA.

Musisz, Bartuś... (*głaszcze go po ramieniu*).

BARTUŚ.

Niechajcie mię.

MARYNA.

Kościów nie czuję, rety, rety! — a toć miej wyrozumienie. Albo wiesz co? Obiecałam ci wkiedyś dać na skrętke, to ci dam dziś. Kupisz se u Lejby, co zechcesz (*mówiąc to dobyła ze skrzyni, stojącej między kominem a drzwiami do komory w prawo, chustkę a z jej węzetka drobne pieniądze*).

BARTUŚ

(*oburkliwie*). Warzoną mam mieć wieszczę a i masną, kie was na obiad dla parobka nie stać.

MARYNA

(*wręczając mu pieniądze*). Né łupaka, kup se za całego, co chcesz, moskala abo salcesonu. Idź, idź, ja ci to jeszcze nieraz wynadgradzę.

BARTUŚ

(*biorąc pieniądze*). Ja takiej służby nie chcę.

MARYNA.

Toli widzisz, co się nijak nie ozerwę. Né, masz tu jeszcze na papierosy. Pojedz sobie, ale nie na krédę. A jutro ci narychtuję warzoną juzynę, hałuszki ze skwar-kami, — na mój dusiu. — Lęgając zaś nie zaprósz ognia na szopie (*niechętnego wypycha za drzwi*).

SCENA 12.

MARYNA.

Matko Boska cudowna, jak tu temu wszystkiemu podołać jednej kobiecie... *(rozwiązuje płachtę brzemienia i roztrząsa na izbie siano. Wtem przypomina sobie, że nie zamknęła domu za Bartusiem. Wybiega do sionki, słychać zapadanie rygla. Nie poprzestawszy na tym rozwiązuje w sionce Bartusiowe brzemień siana i roztrząsa je na klepsku. Ułatwiwszy się z tym wraca do izby i, tylko przeżegnawszy się, kładzie się spać. — Podczas całej poprzedniej sceny z Bartusiem BUDYKA coraz to podnosił głowę z poduszek i oboje podpatrywał. — Gdy MARYNA wyszła do sieni, podnosi się z łóżka, cichaczem skrada się i zawziąwszy po drodze kijankę do prania, przystaje przy drzwiach do sionki i z podniesioną kijanką czatuje. MARYNA, posłyszawszy jakieś szmery, siada na sianie i nastuchuje.*

MARYNA.

Czy tu kto chodzi? *(wstała, nastuchuje, żegna się)* Wszelki duch... *(nagła, „mrugająca” błyskawica, przy której blasku widać BUDYKĘ jak nie zdążył jeszcze opuścić ręki z kijanką. — MARYNA podbiega doń).*

To ty? z kijanką na mnie? Co ci to za myśli przychodzą. Wstydź się, wstydź.. *(odbiera mu kijankę)* Le-gnąłbyś lepiej.. — No chodź, chodź, zeprzyj się na mnie... *(odprowadza go do łóżka, układa do snu i bezwładna rzuca się na siano. — Przewlekły pomruk dalekiego gromu, podczas którego kurtyna zwolna zapada).*

KONIEC I-go AKTU.

AKT II.

SCENA 1.

Ta sama izba, tylko pod lewą ścianą, na przeciw drzwi od komory, przybył tapczan z barłogiem.

BUDYKA

(siedząc na ławce przed kominem grzebie łyżką w misce z jadłem). Przyczyń-że mi omasty.

JAGA

(w głębi na ławie obierając z łupin ziemniaki, zbywa milczeniem prośbę BUDYKI).

(Pauza).

BUDYKA.

Przyczyń, Jaguś.

JAGA.

Dzisiaj post.

BUDYKA.

Choć krzynę *(pauza)*. Nie bądź taka nieużycziwa, Jaguś.

JAGA.

Trza wam było jeść ze wszystkimi.

BUDYKA.

Żebyś ty miała takie kolana...

JAGA.

Toście se sami winni.

BUDYKA.

Winien... winien... Pan Bóg chciał mię ukarać i ukarał. A za co? Winieniem ja i Pan Bóg winien, bo mię pokarał, a za co? Zachciało mi się nowych izbów, — to to grzech? A gdzieżbyście teraz wszyscy siedzieli? A źle wam tu? Grunt jest, izby są, szopa jest, krowiny dwie i cielątko...

JAGA.

I gębów na to sześć.

BUDYKA.

Toć parobek ubył.

JAGA.

To jedna dopiero i robotna.

BUDYKA.

A nie obstoi to Maryna za parobka?

JAGA.

Niech się ona o gospodarstwo tak nie stara, bo nie jej to gospodarstwo.

BUDYKA.

No, nie jej. — A czy ci źle, że robi za twego mamrota?

JAGA.

Zaraz mamrota... Zamyśliwy jest i tyle.

BUDYKA.

Tak ci, tak...

JAGA.

Wam się ta lepiej widzi Walek. Przyniesie wam słodkiej albo papierosów, przypodchlebi, toż go rado macie. A Maryna może też.

BUDYKA.

Bo wesół (*pauza, — skosztowawszy znów jadła*). Nie żałuj mi, Jaga. Przełknąć bieda.

JAGA.

Trza wam było jeść ze wszystkimi.

BUDYKA

(*porywczco*). A wiesz ty, co ja mam we wymowie?

JAGA.

Ja ta jej z wami nie robiła, a macie, jakoście chcieli.

BUDYKA

(*uderzając pięścią w ławę*). A to tu wszystko moje!

JAGA.

Było, tatusiczku, było.

BUDYKA.

Tatusiczku... Ty żmijo!

JAGA.

A to było we wymowie, że nas będziecie hanobić?

BUDYKA.

Ty żmijo, ty żmijo... Nie wzionem po nieboszczce nic, nic się wam nie patrzyło, a dałem wszystko. Gruntu mało chyba dwa morgi, izby są, szopa jest, krowiny dwie i cielątko, opatrzenia wszelijkiego dość, — izby nowe, piękne, a od kogóż to macie? nie ode mnie?

JAGA.

Zrobili jako chcieli.

BUDYKA.

A bez com to zrobił? Nie dla Zośki? nie dla ciebie? Przyczyn-że, Jaguś.

JAGA.

Widzicie, co ziemniaki strugam i nie mam czasu. Jest masło w komorze (*ukazała w prawo*), to se ta weźcie, zechlejcie i to.

BUDYKA.

Nie dostanę na półkę.

JAGA.

Przystawcie se ławę.

BUDYKA.

A jakże ja na ławę wleżę?

JAGA.

A po izbie to możecie?

BUDYKA.

Dzięką Bogu tyle jeszcze zdolę. Nie chcesz, to nie. Żałujesz ojcom, złe serce masz, — miejże. Nie muszę się ciebie prosić, — pójdę do Zośki.

JAGA.

A bronię wam? — idźcie.

BUDYKA.

Jezu, Jezusie... *(opierając się na dwóch kijach, wychodzi w lewo).*

SCENA 2.

(JAGA skończywszy ziemniaki strugać, płucze je w cebrzyku, potem wsypuje do sagana i stawia na kominie. Obtartszy ręce w zapaskę, opiera o listwę okna okrągłe lustro, które BUDYKA darował w I. akcie KAWALCOWI i przysładza sobie włosy. Po chwili słychać za oknem klaskanie z bicza).

JAGA

(wyjrzawszy przez okno, stłumionym głosem). Jasinku, Jasinku... przyjdiesz wieczorkiem?... No, na trzecim wygonie u świątka. Pamiętaj... *(cofa się od okna i, zawiązując sobie chustkę na głowie, nuci:)*

Pościłabym piątki, pościła środy,
Co by mię chciał ino mój Jasinek młody,
Jasinek młody, cudownej urody,
A ja też nie stara — dobrana z nas pa...

(urywa, słysząc skrzypnięcie drzwi z lewej, przez które wchodzi:)

WALEK.

Coście nam przygnali starego?

JAGA.

Uwiążemy go to?

WALEK.

U was ma siedzieć. U nas izba ciasna i z dzieckiem, a tutok luftu dość, rychtyk na czworo. Za toście wzieni trzy zagonki więcej.

JAGA.

My by go wam i za pięć oddali.

WALEK.

To oddajcie.

JAGA.

Jużci, — mało wam jednej morgi?

WALEK.

Cóż mam z niej? na wyrobekum bym, tom miał, a ino. Fasowałem co sobota, a com zafasował, tom miał.

JAGA.

A dużoś dutków nazbijał?

WALEK.

Baba u Dziopaków odrobiła, a com zarobił ja, to było moje.

JAGA.

A-ha, chciałbyś ciągiem u Lejby siedzieć i pana robić.

WALEK.

Ja takiego życia niezwyčajny! Byłem na robotach we świecie, to mi się świat widzi. Za pługiem chodzić, leda gawron umie.

JAGA.

A to czemuż nie idziesz do lasa na zarobek?

WALEK.

A nie mam to gruntu? do spółności grunt a i robota, dopierożbyście mię zakrakali, co darmo chleb jem. A cóż jest tu robić? Macocha zrobią za mnie, za ciebie, za twojego, a mnie się nie widzi takie życie. A to niby mam was pilnować? Z chałupy i bierwiona nie zabierecie, a grunt do połowy Zoścyn i mój.

JAGA.

Dużo gadasz, czemuż do Hameryki nie jedziesz? Odgrążasz się wciąż, a nie jedziesz.

WALEK.

Nie widzi mi się jechać, a bez co mi się nie widzi, to moja rzecz.

JAGA.

Tak co chcesz?

WALEK.

Cobyście starego do nas nie przyganiiali. Waszych trzy zagony, tu ma siedzieć.

JAGA.

A tu izba nasza, a ty masz tam swoją.

WALEK

(popluwszy w garść). Może mię wygonisz?

JAGA.

Dawnoś Zośki nie prał, to ci się cni za bitką.

WALEK.

A no cni, a ty mię nie kuś, wiesz? Ja nie twój mamrot, co ino w kościele siedzi abo po odpustach chodzi. Zachciało mi się tu siedzieć i będę *(siada na ławie)*.

JAGA

(która podczas powyższej rozmowy zbierała w zapaskę obierzyny z ziemniaków). To se siedź, wolę pójść do świni.

WALEK.

Ty, ja ci powiem!

(wchodzi BAZAN ojciec).

SCENA 3.

BAZAN.

Pochwalony.

WALEK.

Witajcie.

(JAGA wychodzi).

BAZAN.

A gdzie Budyka? Bo — wiecie — Maryna wygrała.

WALEK.

Wygrała?

BAZAN.

Trzy śróbne musieli jej Walasy dać za bydłęcia oko, a zaś ona im papierka za tę szkodę w życie.

WALEK.

Toście byli w mieście?

BAZAN.

Jeździłem po nóż do sieczkarni i po mielonego wapna worek i na dródze-m Marynę potkał. Zawziętem żydów, już nie było dla niej placu. Minałem ją niedaleko, przy Brzezówce. To to mi ino dała, bo coś tyle trocha koniowi, a człowiek poczuje (*oddaje mu trzymany w ręce kamień do toczydła*).

WALEK

(*oglądając kamień*). Przyda się, bo stare toczydło zdarte.

BAZAN.

Oddajcie jej jak przyjdzie (*zamierza odejść*).

WALEK.

Siednijcie na chwilę.

BAZAN

Ej, też nie mam czasu... (*przysiada*). Ale, ale prawda. Nie pisał tam wasz brat co o moim chłopcu? Do nas ino raz pisał.

WALEK.

O waszym Kubusiu...? Rychtyk pisał.

BAZAN.

Przeczytajcie mi, moiściewy.

WALEK.

Mam ta gdziesi w izbie.

BAZAN.

Przynieście. Zróbcie to dla mnie.

WALEK.

No, no (*wychodzi w lewo, po chwili wraca niosąc w ręku blaszaną puszkę od kakao*).

BAZAN.

Cóż on tam pisze?

WALEK

(*wydobywszy list z puszki, czyta nie bez zacinania się i poprawianych zaraz mytek*). „Posyłam cię, liściku kochany, abyś zaleciał w rodzicielskie strony, a jak już będziesz u proga pozdrów ich w imię Boga, ojca, matkę, kochaną siostrzyczkę, i nasze pola i las i rzeczkę, pozdrów mi siostrę, pozdrów i brata, co piszę do nich z dalekiego świata. A jak przylecisz w rodzicielskie strony niech wpierv od ciebie będzie pochwalony Pan Jezus Chrystus na wieki, amen“.

BAZAN

(*uchylając kapelusza*). Niech będzie na wieki.

WALEK

(czyta dalej). „A piszę do ciebie, kochany bracie, cośmy tu mieli wielką powódź, aże woda co najgłębsze doły zalała. Ja dzięki Bogu żyw, ale przez sto „ajrysiów“ się potopiło. Szkoda, bo są też katoliki, ale nie mówią po naszymu, ino po inglicku. Ja się po inglicku nauczył dość, bo to łatwo. Dużo wyrazów jest naszych, ino co innego znaczą. „Jes“ znaczy: tak, „maj“ znaczy mój, „ciurecz“ znaczy kościół, dużo takich wyrazów. Ja teraz wożę węgiel w kółpicie bez dziesięć godzin, a za dwie mi płacą osobliwie. Zarobki dobre, ino życie mi nie służy. Kapusty tu nie znają, żuru też, ino mięso i kukurydżę. Czyś dostał szyfkartę?”

BAZAN.

Tobyście jechał za morze?

WALEK.

Ja go ta o nią nie prosił, ale mię on namawia. (czyta) „ino mięso i kukurydżę. Czyś dostał szyfkartę? Co porabia Hanusia Łężowska? nie od siebie o nią pytam, ino skrós Kubusia Bazana, bo mu ojciec Hanusi zakazali do niej pisać. Tak nie śmie. Bazanowi powiedz...”

BAZAN.

No widzicie.

WALEK.

Nie, nie, poczkaście... Nie: Bazanowi powiedz, ino „Bazanowi powodzi się dość, ojców ich ode mnie pozdrów. Adrysuj jak pierwej, tu list zawdy dojdzie. Bądź zdrow,

bracie. Więcej nie piszę, bo nie mam co. Pozdrów wszystkich we familii. Żegnaj się z wszystkimi wami i odchodzę ze słowami: niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”.

BAZAN

(uchylając kapelusza). Niech będzie na wieki. To już koniec?

WALEK.

No już.

BAZAN.

Zalubił się do tej białej kluski, kie jeszcze o niej pamięta. Ha, no, — jakby tak zebrał duży pieniądz, to coś by go stary Łęzowski miał od progu odegnąć. Jak myślicie?

WALEK.

Pewnikiem, żeby go nie wyścigał.

BAZAN.

Jużci miałby grunt, a i dom, — ładna dziedzina. Może mu ją da... Ciężko mi myśli o niej... Muszę to matce powiedzieć... Ostańcie mi z Bogiem *(wychodzi)*.

WALEK.

Do widzenia.

SCENA 4.

WALEK

(schował list do blaszanej puszki i chowa ją do kieszeni. Skręcając sobie papierosa, zapala i duma chwilę). Jechać,

nie jechać... Nie pojadę, albo... albo i pojadę! (*ogląda kamień toczydła, wybija stary, zakłada nowy. W oknie ukazuje się głowa Jaśka KAWALCA*).

KAWALEC.

Budyka, słyszcie!

WALEK.

Nie ma tu Budyki, — co chcesz od niego?

KAWALEC.

Walaska wróciła z miasta, strasznie Marynę wyklina, kazali jej zapłacić trzy śrębne.

WALEK.

No kazali.

KAWALEC.

Ucieszy się Budyka.

WALEK.

To idź mu powiedz, — jest u nas w drugiej izbie. (*KAWALEC znika w oknie*). Dutkuj, dutkuj, — myśli, że co dostanie (*zaprawił nowy kamień i powbił klity. Zwrócony tyłem do drzwi nachyla się nad toczydłem i zaczyna korbą kręcić. Wchodzi MARYNA*).

SCENA 5.

MARYNA

(*wchodzi; buty w rękę, chustka zsunięta z głowy, większa chusta przewieszona przez lewe ramię; spodnica niezbyt kraśna, koszula potatana, ale czysta. Poznawszy w schyłym WALKĘ ogląda się po izbie z pewnym niepokojem*).

WALEK

(*podchodząc do niej i oddzielając ją od drzwi*). Maryna, boisz się mnie?

MARYNA.

Ja się ino boję tego, czego się ty nie boisz, — Boga!

WALEK.

To dobrze, to ci dziękuję. Słuchaj Maryna... (*szuka jej dłoni*).

MARYNA

(*cofając dłoń*). Nie chcę. Idź ode mnie, nie chcę.

WALEK.

Nie chcesz? Chciej! Bez litości chciej. Żebym kamienia, żebym drzewa w lesie prosił, to by mię wysłyszały. Co ja mogę, no co ja mogę za to, co ino o tobie muszę myśleć. Wciąż. Ale i drzewiej też... Bywało uwidzę cię pod Brzezówką, jak okopujesz ziemniaki z Bartusiem abo i sama, a ja na pańskim sągi układam. A co pojrzę, to widzę jak się uwijasz robotnie, a co zaśpiewam, to przystaniesz a ośmiejesz się nikiem zorza, nikiem to słonko.

MARYNA.

Nie do ciebie.

WALEK.

No nie do mnie... Nie do mnie, ino do słonka, do wiesny, do świata, do życia. A jakież tu tobie życie? cóż ty tu masz?

MARYNA.

A nie bez ciebie, nie bez twoją, nie bez tę latawicę i jej niemrawca?

WALEK.

Twój chciał, Jaga chciała, ja też... Oh, i jak jeszcze! A wiesz bez com chciał? Do tobiem chciał, za tobą-m cnił.

MARYNA.

Ja nie chcę tego słuchać...

WALEK.

Maryna... Maryna... Ja bym już dawno we świat poszedł, co by nie ty. Cóż ja tu mam kromie ciebie? Jechałbym we świat, ale nie mogę od tobie.

MARYNA.

Ja cię nie trzymam.

WALEK.

Ani wiesz jak (*ujmuje jej dłoń, której mu ona tym razem nie broni*) Wstanę rano, to ino pozieram, czy cię ka nie ujrzę, pójdę do statku, to ino co bym cię zdybał, — siednę na przyzbie, to ino słucham, czy gdzie twoja kiecka nie zaszusci, a jak zaszusci, to bym cię porwał ot tak... (*wsunął ręce pod jej pachy i obie dłonie zaplótłszy na jej wydatnej piersi trzyma pochyloną wstecz i drżącym głosem szepce*) Już mi nijak strzymać. Wieczór jak legnę, to mi ino zęby od zaciskania zgrzycą, abo gryzę poduszki, coś ty nie przy mnie... Czemu to nie z tobą, Maryna, czemu nie z tobą. Bez ścianę ino, bez jedną ścianę, rety, rety...

(podczas tego wyznania w drzwiach z lewej ukazał się BUDYKA, na widok obojga strętniał i cofnął się bezradny).

MARYNA

(upojona jego kuszącym szeptem). Puść mię, puść, Walek...

WALEK.

Maryna, Maryna, wysłysz mię. Wieczorkiem w drewnutni...

MARYNA.

Co? co ty chcesz?

WALEK.

Kochania twego. Nie żal ci młodego życia, co się trzepie w tobie? nie żal miłowania, co ci głodne na ustach siedzi... (rozplótł dłonie, odwraca ją, by ją pocałować w usta, już już dosięga ich, gdy wtem ona wyrывa mu się, podbiega do komina, zmęczoną głowę odchyła wstecz i z zamkniętymi oczyma opiera ją o kapę) Maryna, Maryna, abo i teraz... Pójdź, w drewnutni nie ma nikogo...

MARYNA

(nie otwierając powiek). Niewstydnny, niewstydnny...

WALEK.

Pójdź, bo jak nie, to se co złego zrobię (obejmuje ją).

MARYNA

(odepchnąwszy go od siebie jedną ręką, drugą sięgając za siebie i biorąc z ognia płonącą głownię). Przypiekło cię? Masz wągiel w zanadrzu? Ja ci go dodam! (tkając mu płonącą szczapę w oczy) Nê, masz! masz! masz!

WALEK

(zastaniając oczy dłonią). Maryna, Maryś...

MARYNA.

Parzy? — masz, masz! Ja ci tu dam sromocić się ze mną, ty! (WALEK wybiega do sionki w lewo. Maryna rzuca szczapę na komin, oddycha ciężko) Phu! aż i mnie gorącość obleciała... Ale nie będzie to, nie... Żonam... ślubnam... Ślubnam i pocziwa... (ochłonawszy składa chustę plecną, która jej podczas szamotania się spadła, zwleka wierzchnią spodnicę i obie chowa do skrzyni. Przyniesione w rękę buty wsunęła pod tapczan. Podczas tego trzy jej nabiegły do oczu. Ocierając je siada na ławie pod oknem. — Po chwili, ochłonawszy do reszty, wydobywa głęboko aż ku plecom schowaną za pazuchę chusteczkę, rozwiązuje jeden jej róg i wyklada pieniądze na stół, — rozlicza sobie coś w myśli, potem zawiązawszy pieniądze znów w węzełek chustki i wyjrzawszy przez okno, czy kto nie podpatruje, zagrzebuje w słomie łóżka) A gdzież kukielka? (rozgląda się po stole i ławce) Przeciem ją... (przypomina sobie, dobywa buty z pod tapczana, z jednego z butów wydobywa jarmarczną bułkę, plecionkę) Jest, nie wytraciłam... (drzwiami z lewej, sycząc z bólu wchodzi BUDYKA. Nie spojrzawszy nawet na Marynę wlecze się ku oknu i siada na ławie w pobliżu łóżka).

SCENA 6.

MARYNA

(odłamawszy kawałek bułki). Né, pokosztuj.

BUDYKA (milczy).

MARYNA.

No, né, kupiłam w mieście.

BUDYKA

(w milczeniu patrzy na nią spode łba).

MARYNA

(w milczeniu podaje mu kawał butki).

BUDYKA

(uderza ją po rękę tak silnie, że butka upada na ziemię).

MARYNA.

Cóż dar boski na ziem ciskasz? *(podnosi butkę i przygląda się mężowi)* Maciek! zamroczyło cię czy ci mowę odjęno? cóżeś taki siny na obliczu? Maciek!

BUDYKA.

Sinym? — Ale jeszcze nie trup!

MARYNA.

Co tobie?

BUDYKA

(ciemno). Nic...

MARYNA.

Co ty, człecz, ode mnie chcesz? no, co ty chcesz? Zrobiłeś jakoś chciał. Choroby jedne namówili cię, ułasiłi... Przepisałeś na nich, — niechże ta. Więc co ode mnie chcesz? — Krzątam się, robię przy Zoścynym dziecku, wele ciebie, w polu, w szopie...

BUDYKA.

A może i na szopie.

MARYNA

(*nie zauważywszy w jego głosie ironii*). Wszędzie, bobyś gnojem obrósł, bobyś zębów nie miał w co wbić. Dużo masz od nich? dużo ci dają?

BUDYKA.

A proszę ich o co?

MARYNA.

No to bez coś zły na mnie?

BUDYKA.

Ja zły? ja ci jeszcze za dobreńki, ty suko!

MARYNA.

Matko Boska, cierpliwości mi daj! — Słuchaj, Maciek, żebyś ty był zdrow, to jabym ci tymi pazurami oczy wydrapała. Żebyś ty był zdrow, to jabym na nic nie patrzyła, ino kopaczkę do ręki wzięna i bez łeb cię cięła!

BUDYKA.

I na gnój wyniesła, hę? (*podnosi się*).

MARYNA

(*powstając również*). Tak jak teraz idę do gnojarki, tak bym cię wyniesła i zagrzebała.

BUDYKA

(*z trudem zastępując jej drogę*). Gdzie chcesz iść?

MARYNA.

Tam, gdzie chcę.

BUDYKA

(*chwytając ją za ramię*). Nigdzie nie pójdziesz! Tu masz siedzieć przy mnie.

MARYNA.

Nie będę.

BUDYKA

(*pchnąwszy ją na ławę*). Tu masz siedzieć przy mnie.

MARYNA.

Co mię trącasz? co trzęsiesz mną? (*podnosi się*). Puść!

BUDYKA

(*przytrzymawszy ją*). Tu masz siedzieć przy mnie, nigdzie nie pójdziesz (*popycha ją z całej siły tak, że MARYNA musi się oprzeć o krawędź łóżka*).

MARYNA.

Co cię opadło? co cię zamroczyło? — a któż co porobi?

BUDYKA.

Tu masz siedzieć, o nic się nie starać. Od czego wymowa.

MARYNA.

Wymowa...!

BUDYKA.

A bez com na nią zwoił? Nie bez ciebie? Wszystkie moje nieszczęścia bez ciebie. Wziąłem cię... — cóżeś miała? Trzy hadry!! Nie widziały ci się stare izby, wziąłem stawiać nowe — jestem łazarz! Dopieroż ci w to graj z młodym parobkiem gospodarzyć. A możeś ta i nie czekała, aż zamknę oczy... A wiem to, coś ty z nim robiła, jakeście poszli w pole? A możeś się tam za niego wydała i bez wydawania.

MARYNA.

Ktosi inny mówi bez ciebie, bo ty sam tak nie myślisz.

BUDYKA.

Ostaw mi moje myślenie. Możeś się ta za niego wydała jak psi w polu i bez wiana... Liczyliście, co cię moja śmierć wywianuje. Gruntu mało chyba dwie morgi, izby nowe piękne, szopa duża, krowy dwie i cielątko, ino cobym już w ziemi był... Chciałaś krzywdy moich dzieci? — masz wymowę!

MARYNA.

Nieprawda! nieczyjej krzywdy nie chciałam... Sam chciałeś wymowy, to ją masz. Ale będę to siedziała palec o palec nie założywszy? To nie pomogę im? Cóż mam przy tobie gnić, kie obrządku i roboty po uszy, a ja młoda.

BUDYKA.

Młodaś, to tu siedź!

MARYNA

(chce powstać i wybiec).

BUDYKA

(przytrzymując ją siłą i rzucając na łóżko). Tu siedz, bo ci gnaty...!

MARYNA.

Chcesz, co bym siedziała? Dobrze — będę. Chcesz? — będę.

BUDYKA.

Tu masz siedzieć, tu przy twoim chłopie. (*siada pod oknem*).

MARYNA.

Dobrze, dobrze. — Chcesz? będę siedziała. Chcesz, co bym siedziała? dobrze, będę... (*wyciąga spod siebie z barłoga kilka żdźbeł słomy i zaczyna je w warkocz zaplatać. BUDYKA coraz to postępuje i rozciera sobie kolana. Pauza*).

MARYNA.

Może ci gorący okład dać?

BUDYKA

(*milczy*).

(*wchodzi ZOŚKA*).

SCENA 7.

ZOŚKA.

Nie ma tu mego?

MARYNA.

To nie widzisz?

ZOŚKA

(*powiódłszy spojrzeniem po izbie*). A gdzież się skrył?

BUDYKA

(*kłpiąc złością*). Pod kieckę! (*wstaje, ukazuje na drzwi*).
Wynocha! Tam macie izbę, tam siedź ze swoim.

ZOŚKA.

Dużoście mię tu razy widzieli? Już ja się wam nie
naprzykrzam... Chciałam ino, co by mi dziecka dojrzał, bo
muszę wyjść. To mi tam matka pomoga.

MARYNA.

No, no (*wstaje*).

BUDYKA

(*grożąc jej*). Ani się rusz.

ZOŚKA.

Coście tacy źli, tatusiu?

BUDYKA.

Wynocha, mówię ci.

(*ZOŚKA wzruszywszy ramionami wychodzi, — we drzwiach
mija się z DIAKIEM*).

SCENA 8.

DIAK.

Pochwalony.

BUDYKA.

Na wieki.

*(DIAK obdarte, zahukane chłopisko z oczyma chytrego nę-
dzarza nie rusza się od progu i przestępując z nogi na
nogę rozgląda się po izbie czekając na ośmieszenie go ze
strony gospodarzy. Mówi cichym, steranym głosem, w ru-
chach przypomina psa, który tylko patrzy, skąd na niego
kij spadnie).*

BUDYKA.

No, siednijcie se.

DIAK

*(postąpił krokiem ku tapczanowi w lewo, ale nie śmiejąc
na nim usiąść, rozgląda się jeszcze, — pauza).*

BUDYKA.

Siednijcie, mówię.

*(DIAK kuca na progu, — MARYNA bierze tymczasem
z ławy kawał zgrzebnego płótna i zaczyna je obrębiać).*

BUDYKA.

Przynieśliście?

*(DIAK wstaje z progu, szuka gdzieś w swoich łachma-
nach, wydobywa z nich maleńki nadbity garnuś, pozie-
rając w oczy raz MARYNIE, to znowu BUDYCE, oddaje
mu maść).*

BUDYKA

(powąchał, wstrząsa się od jej zapachu). Musi być mocna.

DIAK.

Pómoże (*odbiera garnuś od BUDYKI i niesie go dać powąchać MARYNIE*).

MARYNA

(*uchylając się*). A dużo to stoi?

DIAK.

Lek od Boga, za lek nic. Ino garnuś...

MARYNA.

A cóż ten garnuś warta?

DIAK

(*zakłopotany spoziera to na BUDYKĘ to na MARYNĘ*).

MARYNA.

Dużo za ten garnuś?

DIAK

(*waha się i kręci głową bezradnie*).

BUDYKA.

Co się pytasz? — daj, ile warta.

MARYNA.

Daj... a skąd?

BUDYKA.

A to ci Syki nie zapłacili?

MARYNA.

No, tom wydała. — Kamień do toczydła kupiłam, bo stary zdarty, kukielkę kupiłam...

BUDYKA.

To ci ze dwóch srebrnych nic nie zostało?

MARYNA.

A to za przypuszczenie bysia do Łatochy nie muszę papierka dać?

BUDYKA

(*porywczo*). Gdzie masz resztę ze dwóch srebrnych?

MARYNA.

Schowałam.

BUDYKA,

Nie ma już Bartusia, co byś mu skrętki kupowała. A może dla zięciów? dla... Walka? (*ostatnie słowa mówi takim tonem, że MARYNA dla uniknięcia wybuchu, decyduje się oddać mu pieniądze. Sięgnąwszy pod bartóg dobywa chusteczki z zawiązanym na niej węzełkiem. Przy rozwiązywaniu go pieniądze rozsypują się jej po klepisku*).

MARYNA.

Eh, choroba... (*schyla się, aby grosze zebrać, lecz ubiega ją w tym DIAK, który ze zwinnością kota rzuca się na srebrnego guldena i oddaje go BUDYCE*).

MARYNA.

Oddaj, Maciek. — Przeciec to ja wyprocesowałam, przecie się to przyda na bodaj co, — no, oddaj, oddaj...

(*DIAK tymczasem, znalazłszy na klepisku kilka miedziaków, podchodzi do BUDYKI z wyciągniętą ręką.*)

BUDYKA

(*do MARYNY*). Nie oddam, bo moje (*odsuwa ją, do DIAKA*). A to se ta weźcie za garnuś. (*DIAK chowa grosze uradowany*).

MARYNA.

Maciek, toćem Lejbie dłużna za sól i drożdże. Muszę mu oddać, bo podwójną kredą zapisze cygan.

BUDYKA.

Niech zięcie wszystko płacą. Kie wymowa to wymowa. — To już ja mam być dziad? To on mię w chorobie ratuje, daremnie leki znosi, a jabym go nie poczciał za to? To ja nie jestem gospodarz? Macie tu, Diak, skoknijcie do Lejby...

MARYNA.

A dyć pomiarkuj się, Maciek.

BUDYKA.

Tu siedź, ani się rusz.

MARYNA

(*bezsilna ślada zrezygnowana na ławie pod oknem*).

DIAK.

Śliwowicy?

BUDYKA.

Całą litrę, ino mocnej.

(DIAK znika za drzwiami, — po chwili MARYNA wstaje i zaczyna po klepisku rozglądać się, czy gdzie jeszcze jaki grosz nie został).

BUDYKA.

Kie djasi mię skusili, com się z tobą ożenił. Miałem gospodarstwo, dziewczki obie wydane... Kie djasi mię skusili?...

MARYNA

(stając przed nim). Weźmij, Maciek, Boga do serca i powiedz, com ci winowata?

BUDYKA.

A cóż mi żałujesz, jak mię kto ratuje w chorobie?

MARYNA.

Nie mówił ci to organista, co byś nie pił wódki, bo od tego picia jeszcze ci w nogach gorzej? A na czymże się to Diakowe lekovanie kończy, — nie wiem to?

BUDYKA

To ci żal, co mię na chwilę ustanie boleć?

MARYNA.

Ja ci już nic nie żałuję, — co chcesz, to rób.

(wchodzi GRZEŚ BUKAŁA).

SCENA 9.

GRZEŚ.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus... (*BUDYKA i MARYNA milczą, — GRZEŚ spojrzął po obojgu, wyręczając ich sam sobie szeptem odpowiada*) na wieki wieków, amen. (*przeżegnał się, po chwili do BUDYCZKI*).
Widziałem was w Borku, jakeście z miasta szła.

MARYNA.

Ja cię nie widziała.

GRZEŚ.

Boście nawet nie przystanęła na jeden paciorek, a właśnie kompanią szliśmy bez pole niedaleczko.

MARYNA.

Nie ozglądałam się, bo mi było śpieszno do domu.

GRZEŚ.

Do Pana Boga trza się spieszyć, nie do miasta abo i z miasta. A cóż w mieście? nie diabeł i wszystkie jego moce? W Borku dziś taki wielki odpust suchdniowy, ale wam do Boga niepilno (*milczenie*). Byli ze Starego Borku, z Kielnarowy, z Dylągówki, od nas... Nasz kanonik i z Tyczyna, a ojcowie Dominikany przy spowiedziach. A na sumie, dopiero-ż było co widzieć. Narodu moc taka, co kazaniów było aże dwa.

BUDYKA.

Dwa jaże?

GRZEŚ.

Właśnie. Jedno z ambony, drugie przy ogroju. Dopieroż nasz kanonik począł ludzi gromić, co zbijaki są, roboty się nijakiej nie tkną, a Pan Jezusiczek w uciśnieniu wielkim czeka, co byśmy przyszli do Niego, a zmiłowania za zepsucie światowe prosili. Bo zepsucie wielkie, scyjalisty to znaczy diabły po wsiach chodzą, naród kuszą, a śmierć chodzi też i pokuszonych zbiera. Niedawno chłop w Zalesiu...

(wbiega przerażony DIAK).

SCENA 10.

DIAK.

Prędko! Chodźcie, chodźcie, bo się zabija!

BUDYKA i MARYNA.

Gdzie, kto?

DIAK.

Zabiją się.

MARYNA

(zrywając się). Kto?

DIAK.

Lejba ze Samkiem.

MARYNA.

Którym Samkiem?

DIAK.

No z waszym Walkiem.

MARYNA.

Trza ich ozerwać! Zośka! (*otwiera drzwi do sionki i woła*). Zośka! (*do DIAKA*) Mówcie co się stało. O co?

DIAK.

Wiem to? — Lejba cały we krwi.

MARYNA.

Ubił Walka?

DIAK.

Wiem to? Chodźcie ino.

MARYNA

(*porywając chustę*). No lecę, lecę.

BUDYKA

(*grożąc jej*). Maryna! ani się waź!

MARYNA,

A toć mogą się zabić!

BUDYKA.

Walka ci żal? Tu siedz, kiej ci kazuję. Idźno, Grześ...

GRZEŚ.

Ja ta nie do bitki. Kto zbijak, kto Boga nie miłuje, to czy mój brat czy famielijant, mnie do niego nic.

BUDYKA.

Głupiś i tyła.

MARYNA.

A toć idź, Grzesiu!

GRZEŚ.

Nie pójdę i dość.

DIAK

(wyczekując na decyzję gospodarzy, kręci się po izbie, ułazując w okno). Toli idą.

MARYNA

(spojrzawszy w okno). Retyści, cały skrwawiony.

(Słychać w sieni głosy WALKI i ZOŚKI, — MARYNA uchyła drzwi).

SCENA 11.

ZOŚKA

(jeszcze w sieni). Poranił cię? Chodź do izby... Chodź...

WALEK.

Tu chcę. *(odepchnął ją, wchodzi pijany w kamizelce tylko i koszuli podartej i zakrwawionej).*

BUDYKA.

Twoja izba tam!

MARYNA
(*do ZOŚKI szeptem*). Poranił go?

ZOŚKA.

Wiem to?

WALEK.

Mór na zdechlinę... Inom parcha ciepnał, inom go przysiadł, cosi w nim chrupło...

ZOŚKA.

Jezus Maria! Zabiłeś?

WALEK

(*cokolwiek przytomniejąc*). O, o, zaraz zabił... Jakisi gnat chrupnął, — nic mu nie będzie. A cóż on, parch jeden, to ja nie płacę, co? a gruntu to nie mam? gospodarz nie jestem?

MARYNA.

Idź legnąć, boś się opił jak niestwór.

WALEK.

A wiesz, bez com się jak niestwór opił? wiesz bez co?

BUDYKA.

Co ty jej tu będziesz „ty” mówił?

WALEK

(*do MARYNY*). Bez to, co choć na oczymienie chcę się poczuć tworem, jako są ludzie po świecie. Nie zawdy ino wół a cham. Bez tom się opił, wiesz? bez to i bez ciebie.

BUDYKA.

Macochą twoją jest, słyszysz!

WALEK.

Maryna, Marysiczka...

ZOŚKA

(*ciągnąc go*). Pójdź legnąć.

WALEK.

Chodź i ty Maryna.

MARYNA.

Jaka ja tobie: ty? Tu masz swoją babę.

WALEK.

Co bym nie miał... mór na nią... (*chwyta ZOŚKĘ za katankę*) Chcesz do izby? Pójdź (*odwraca się we drzwiach*). A wy, Budyka... (*zacina się*) No, już ja tam wiem... (*grozi mu*).

KONIEC II-go AKTU.

AKT III.

SCENA 1.

*Ta sama izba. — JAGA krząta się po niej — po chwili
wchodzi ZOŚKA w chuście plecnej.*

ZOŚKA.

Jakbyś miała chwilkę czasu, a słyszała, co się dreją,
zajrzyj na dziecka (*wskazała ku sieni w lewo*).

JAGA.

Idziesz to?

ZOŚKA.

Siabes zachodzi, muszę posiedzieć za żydów.

JAGA.

Trza ci to było tego?

ZOŚKA.

I tybyś przystała, jakby ci z komornego spuścili
tego papierka.

JAGA.

No, nie wiem.

ZOŚKA.

Dobrze ci gadać, jak masz swoja izbę. Bez jeden
dzień w tygodniu nie narobię się znów tyle, a za to choć
do czasu mogę tu być. A tobyście woleli, co by żyd za-
siadł stancyję?

JAGA.

I tak jego, nie twoja i nie ino stancyja, ale i grunta.

ZOŚKA.

To też trza było, jakem chciała ja i macocha, nie czekać licytacyi, ino wziąć pożyczkę w kasie i zapłacić, co mu sąd przyznał.

JAGA.

Jużci! tośmy się dla was wszyscy mieli gubić. A czy to ja połamała kości żydowi, abo mój Grześ, abo ojciec? Cóż my mieli spłaty na się brać za twojego zbijaka?

ZOŚKA.

Nie wiem, czybys tak mówiła, jakby się to twojemu przytrefiło.

JAGA.

To ci jeszcze mało, co wymowa na nas spadła? Na całym było ciężko, a teraz to już nie wydojemy nijak. Jeszcze ojciec — no, chory i stary — ale macocha!

ZOŚKA.

Wymowę strzymać musicie.

JAGA.

Nie nie musimy. Tabulowana to? Ino z dobrowolności, a dobrowolność dziś taka jutro owaka i co by to nie był mój Grześ ino twój Walek, to by tu już po nich ani zacuchło.

ZOŚKA.

Rychtyk, Walek by ci macochę wygnał do pola... Ty wiesz!

JAGA.

Może więcej niżli ty.

ZOŚKA.

Myślisz, żem nie śladowała, skąd te gadki o Walku po ludziach? Śladowałam. Byłam u pocziarki, powiada: nie pamiętam, a choćbym i pamiętała, to mi niewolno mówić, bo to sekret. My przysiegamy, co nikomu nie powiemy, jakie listy, do kogo i skąd... No, cóż jej zrobię?

JAGA.

El... Jak chcesz kupić kurę, to zaczynaj targować prosię, a jak prosię, to przepytuj o cieliczkę, rozumiesz? Pytałaś pocziarki, czy macocha nie miała listu z Ameryki?

ZOŚKA.

No jużci.

JAGA.

Ale nie pytałaś, czy go nie miał Krupa.

ZOŚKA.

Który?

JAGA.

No Staszek, cioteczny Maryny.

ZOŚKA.

No to co? — ja cię nie rozumiem.

JAGA.

Nie przyjaźnił się to Krupa zdawna z Walkiem? A któż zaczął pierwszy o Walku mówić? Jak się ino o twoim po wsi rozniesło, pytałam ludzi rządkiem ażem doszła, że nikt ino on pierwszy zaczął.

ZOŚKA.

To by on do mnie nie pisał, a do Staszka Krupy...?

JAGA.

Do macochy, ino bez Krupę, bo by do niej śmiałości nie miał przecieć.

ZOŚKA.

Śmiałości pewnikiem by nie miał, ale to co mówisz... Nie zdaje mi się to nijak.

JAGA

(zniecierpliwiona). To niech ci się nie zdaje.

ZOŚKA.

A powiem ci, dlaczego. Karkuluję sobie, że jakby on do niej pisał czy teraz czy przódziej, to by przecie...

JAGA

(sposzregłszy przez okno nadchodzącą MARYNĘ). Cichaj cichaj, toli idzie właśnie *(zaczyna się krzątać po izbie i bierze spod ławy półduckę, — po chwili wchodzi MARYNA z trochą płócienną bielizny na rękę, — przeszedłszy izbę, znika w komorze w prawo)*.

ZOŚKA

(która wyzierała niby to oknem, widząc zmierzającą ku drzwiom w lewo JAGĘ, podbiega do niej, zatrzymuje i mówi szeptem). To nie może być.

JAGA.

Co nie może być?

ZOŚKA.

No to. Póki Walek był, to się Maryna nieraz na mnie boczyła a i ostro co powiedziała i nie zająrała nigdy na naszą stronę, a teraz to i rado u mnie posiedzi i dzieciów mi dojrzy i pokołysa i pocieszy i tak uważuję, co jest teraz jakasi serdeczniejsza ze mną niż bywała przódziej.

JAGA

(wciąż, jak przez całą tę rozmowę, półgłosem). Nie mój wóz, nie mnie wiózł. Ja ci ino gadam: daj poziór, a uwidzisz wnet.

(wychodzi z półducką).

ZOŚKA

(zamysłona). Jak chcesz kupić kurę, to zaczynaj targować prosię, a jak prosię, to przepytuj o cielieczkę... *(z komory w prawo wychodzi MARYNA z cebrzykiem, pełnym bielizny i kolorowych spodnic. Na chwilę stawia kosz na izbie).*

SCENA 2.

ZOŚKA.

Mokre, to i ciężkie. Pomogę.

MARYNA.

Eh, toć uniesę tę odróbe *(dźwiga cebrzyk i stawia go na ławie pod kominem)*. A ty gdzie? Do Dziopaków?

ZOŚKA.

Do Lejby.

MARYNA.

Prawda, że to dziś piątek. Nie słyszałaś tam co nowego? Poniecha nas, czy żąda wyprzedania?

ZOŚKA.

Wyprzedaniem niech se smarkate dziecka straszy, nie nas.

MARYNA.

Tak ci tak, a pono jakby chciał, to prawo ku temu ma.

ZOŚKA.

Straszy ino, a zresztą jakby już na to przyszło, to by my się wypłacili.

MARYNA.

Kie on nie wypłaty chce, ino ozdzielić się. Ozdziel-że chałupę na dwie, a i każdy oztracony zagonik, ozdziel-że kiejś taka mądra.

ZOŚKA.

Ja nie jeomentra.

MARYNA.

Jeomentry też temu nie wydolą, a wypłacić się... ho, ho! — wiesz ty, co on teraz chce?

ZOŚKA.

Co ma chcieć. — Przysądzili mu tę spólność w dziewięćdziesięciu papierkach.

MARYNA.

No, a z kosztami sto i jedenaście. A teraz on sto trzydzieści nie chce brać, wiesz?

ZOŚKA.

Nie chce, bo mu nikt nie daje.

MARYNA.

Daje, nie daje... Spytaj go, to się dowiesz.

ZOŚKA.

Co mam pytać, kie nie mam i grajcara, ino zasię po wyrobkach chodzę. Przyszle mi to co zza morza? napisze to choć słówko? Obeym to dziwno, litują się, za rękawki mię ciągną: a co? a jak? a dużo ci posyła? a cóż pisze? a on nic i nic. Żeby choć spytał o bodaj co jak nie o mnie.

MARYNA.

Toć wie, co siedzisz u ojców.

ZOŚKA.

Czy to ino o siedzenie i o ten ziemniak idzie? Toć'em jego baba, serce mam nie kamień. Nagło mu było jechać, ale chyba tyle czasu miał, co by mi powiedzieć: ostań z Bogiem.

MARYNA.

Już postenfür za nim szukał.

ZOŚKA.

Jużci dobrze, co umknął od kajdanków. Ale co się z nim we świecie dzieje? Po nocach mi się śni, a taki bledziutki, co rety. A może na szyfie utonął...

MARYNA.

Nie płacz, miej rozum, bo ci na pokarm pójdzie i będziesz musiała odłączyć.

ZOŚKA.

Do rozumu gadam, na rozpomyślenie biorę, kie tu boli, tu w duszy... o, moja matko, moja matko! jużem jako wdowa, ino mi głową do studni. On już nie żyje.

MARYNA.

Nie łam zawczasu rąk.

ZOŚKA.

A czemuż mi się śni? duszyczką do mnie chodzi? Pewnikiem umarł.

MARYNA.

Nie płacz, nie płacz. Żyw jest i zdrów.

ZOŚKA.

Nieszczęśliwa ja, nieszczęśliwa... (*szlocha*).

MARYNA.

No słyszysz, Zosiu.

ZOŚKA.

Że jakiesi gadki o nim są? Czego ludziska nie plotą! A on teraz leży na dnie słonej wody i ryby go jedzą (*zawodzi*).

MARYNA

(*straciwszy cierpliwość*). Słuchaj, Zosiu, kie ja ci mówię, że żyw jest i zdrów, to już tak jest.

ZOŚKA.

To już tak jest...? A jak to matka mogą wiedzieć?

MARYNA

(*widząc, że się wygadała*). No, wiem.

ZOŚKA

(*odrazu ochłonąwszy z udanego przeważnie płaczu*). To nikt o tem we wsi nie wie, a macocha wiedzą? To nikt nie wie, a wy wiecie? I nie wstydno wam, tak mi do oczu rzec? Słusznie was pomawiają... (*gwałtownie*) On pisał do was!

MARYNA

(*milczy*).

ZOŚKA.

On do was pisał! O mnie, o dziecka ani się za-troska, a do was to i z za morza...

MARYNA.

Słuchaj, Zosiu.

ZOŚKA.

Dajcie wy mnie pokój (*ślada zgnębiona odkryciem*).

MARYNA

(*przysiadając się do niej, serdecznie*). Co se ty myślisz? co?

ZOŚKA

(*namiętnie*). To se myślę, co mię okradacie z duchowego dobra, z tego, co mi tu wzrosło, z tego, co najbardziej moje, z tego, co sam Pan Bóg od złodzieja broni, a ino złe serce wydrzeć to drugim dowiedzie...

MARYNA.

Zośka, Zosiu, toć'em też kobieta.

ZOŚKA.

A i młoda jeszcze i śwarna!

MARYNA

(*po chwili namysłu*). Nie ufasz mi... cóż mogę za to? A i ty nie możesz. Słuchaj, wierzysz w Boga troistego a jedynego? Na troistego, jedynego Boga mówię ci, co ino połowę wiesz, ino jedną, swoją, a zaś o mojej to wiem ino ja i Pan Jezus. Napastował mię, chodził za mną, prosił, namawiał... Młoda-m jest, ale pocziwa — słyszysz? — pocziwa! Znasz ojca..., mam chłopą jakbym chłopą nie miała, ale mię inny nie ukusił, — przysiądź ci na to?

ZOŚKA

(*milczy*).

MARYNA.

Jak chcę zbawienia duszy, amen, że prawdę mówię.
A i to prawda, co żyw jest i zdrów.

ZOŚKA

(*zrezygnowana*). Cóż pisał?

MARYNA.

Powodzi mu się dość, jest gdziesi na robotach
i... zdrów jest i tyle.

ZOŚKA.

Pytał o mnie?

MARYNA.

Toć wie, coś u ojców.

ZOŚKA.

Więc nie pytał... i o dziecko nie... Cóż zamysła?

MARYNA.

Eh, co ci po jego zamysłach.

ZOŚKA.

Namawia was? (*wobec milczenia MARYNY*) Namawia? a może...

MARYNA

(*po chwili wewnętrznej rozterki*). Nie zdradzisz mię?

ZOŚKA.

A bo co?

MARYNA.

Nie zdradzisz? — No, pamiętaj. Bo ty mię wyrozumiesz i ja wolę co ty będziesz wiedziała. Ale jakby tak ojciec wkiedy...

ZOŚKA.

A muszę to mówić?

MARYNA.

Pamiętaj. — Powiem ci, co nie ino pisuje i namawia, ale mi już dwa razy przysłał na drogę.

ZOŚKA.

I matka se to wzięni?

MARYNA.

A cóżem miała robić, wyrzucić? — Wzięłam i do kasy dałam i już parę grajcarów z procentu przyrosło.

ZOŚKA.

To ja po wyrobkach chodzę, a wy do kasy dajecie...

MARYNA.

To ci źle będzie wrócić na swoje grunta? Wzięłam, ale przecie nie dla siebie, ino dla ciebie i twoich piskląt. Teraz ino sto koron dopożyczyć i spłacić.

ZOŚKA.

Odkupić się?

MARYNA.

No jużci. Wciąż nad tym przemysluje.

ZOŚKA

(*wzruszona*). Doprawdy, matko? toście wy tak myślała?

MARYNA.

Ty wiesz, co ja nie kłamię. Juźci twego dobra chcę, nie swego. Bo druga nie dosiedziałyby tu. Psą uwiąż, a będzie wérczał. A ja warknęłam wam aby raz? Słyszałaś mię wkiedy? Ino ta Matka Boska mię słyszała, jak mi juź nie było w moc, ino ta nocka ciemna i ten barłóg... A przecieć ja też człowiek wolności chcący...!
(*wchodzą: GRZEŚ za nim DIAK, każdy niesie po jednej, zgrubsza ociosanej juź belce drzewa*).

MARYNA

(*wobec ich wejścia wstaje z ławki i ukrywając wzruszenie, kończy niby to układać w cebrzyku bieliznę. Szeptem do Zośki*). A to, com ci mówiła, to ino tobie. Nie zdradź mię, — pamiętaj.

ZOŚKA.

Cóżbym miała zdradzać.

MARYNA

(*głośno*). Weź za drugie ucho, będzie nam spojrzej nieść.

SCENA 3.

GRZEŚ.

Siedźcie, matka, przecieć was nie wyganiem.

MARYNA.

Tak prosisz, jakbym tu była gość.

GRZEŚ.

No nie, ino mi się widzi, co wszyscy uciekacie ode mnie.

MARYNA.

Może ino Jaga, a tobie się widzi, co wszyscy. Chodź, Zośka (*wychodzą*).

SCENA 4.

GRZEŚ.

Złóżcie to tutok, Diak.

DIAK

(*zrzucając z ramienia*). Ciężkie, to i ugnietło.

GRZEŚ.

Zbawiciela bardziej gniotło, a jeszcze pod górę dźwigał, nie po równem. On nam tego nie zapomnie.

DIAK.

To na świątka rychtujecie?

GRZEŚ.

No, pierwsza myśl ma być o Bogu.

DIAK.

Postawiłbym i ja, chudziak, ale mam to jak wy co urąbać.

GRZEŚ.

Musiałem też kupić w traczu.

DIAK.

Zesłałem co cud. (*rozgląda się*) Od wczoraj rania
nikt mi nic nie dał (*wchodzi JAGA z półducką ziemniaków*).

GRZEŚ.

A gorzałką się wam czeka.

SCENA 5.

JAGA.

A wy tu co robicie? Wynochał

DIAK

(*kuląc się, ma się ku drzwiom*).

GRZEŚ.

Pomógł mi przynieść.

JAGA.

Wynochał Nie ma Budyki, a my wam nic nie damy.
— No, jeszczeście tu?

DIAK

(*odczekawszy chwilę, czy GRZEŚ się za nim nie wstawi,
wychodzi*).

JAGA.

Co mi tu na kark sprowadzasz darmozjada? — za
dużo masz?

GRZEŚ.

Nagiego przyodziej, głodnego nakarm...

JAGA.

A sam wyciąg nogi (*zaczyna się krzątać*).

GRZEŚ

(*pasując belki na krzyż*). A czyśmy to tutaj wieczni? —
Tu się miniemy wnet, a na wieczność trza sobie zapracować.

JAGA.

O, już ty się napracujesz.

(*drzwiami z sieni wchodzi o kijach BUDYKA i pomatu
zmierza ku łóżku za piecem*).

SCENA 6.

GRZEŚ.

Nie praca to przydźwigać? nie praca spasować? a jak
zbiję i wkopię, będzie zaś sto dni odpustu.

JAGA.

Wstydał byś się, wstydał, — jaki z ciebie chłop?
Jeszcze przy Walku toś się ta niejednego czepił i robił,
a teraz już nic a nic.

GRZEŚ

(*pomilczawszy chwilę*). A wiesz, Jaga, bez co nasze ozi-
miny takie płone? — wiesz bez co? A nie wiesz, na
rozpomyślanie nie weźmiesz. A kto mię musił, co bym
przed Matką Boską Siewną siał? Nie wy? nie ty i macocha?

JAGA

Ja cię do niczego nie muszę.

GRZEŚ.

Ale macocha musiała. Że wcześniej zejdzie i śnieg większe piórka przylegnie. — Posiałem zawczas i wybujało.

JAGA.

Baj baj.

GRZEŚ.

A cóż ty myślisz, że to nie grzech nie dać Najświętszej Paniencie pierwszej ziarna rzucić? A to Najświętsza Panienska nie chodzi po polach i nie sieje? Jużci nie żyto ani pszenicę, bo gdzieżby grzeszny człowiek miał co roku mieć daremny siew? Ale rosę w zapasce nosi i sieje. A to nie Ona najpierwsza powinna być? Zgrzeszyłem, a ino mię do tego macocha przywiedła.

JAGA.

Jeszcze ci raz powiadam, coś głupi.

BUDYKA

(*już na łóżku*). A ty, Jaga, co się ty na tem rozumiesz? Jużci, że ino Maryna przymusiła.

JAGA.

Eh, wy też stary, a rozumu nie macie. Jakże wam siew nie będzie płony, jak spod dwóch bydląt ubył nawozu?

BUDYKA

(*zły*). A właśnie. A któż je sprzedał? Ja? może ty? a może Grześ? a Zośka też nie przedawała, — no to kto utratnik? kto?

JAGA.

Tośmy wszyscy wraz zwolili na to. A skądby my
wzięni na adwokata?

BUDYKA.

I cóżeś wygrała? spólność z żydem?

JAGA.

No, lepsze to, niż co by nas miał wyprzedać.

BUDYKA.

Co? nas wyprzedać? Blekotu się opilaś czy co? Nie
ma to sprawiedliwości na świecie?

JAGA.

Czy ja już wiem...

BUDYKA.

Ale językiem mielesz.

GRZEŚ.

I sprawiedliwość jest i Opatrzność jest — co bym
się to trapił (*pauza*). Chodź ino Jaga i przytrzym mi, bo
nie mogę spasować.

JAGA.

E, co mię odrywasz od roboty.

GRZEŚ.

Prędzej skończę, a bez tego niczego się w polu nie
tknę. A myślisz, że to nie był znak od Boga, co mało
o Nim myślimy? Włos z głowy bez Jego woli nie spadnie,
a świętek w polu miałby sam od siebie?

JAGA.

Drzewo było nadegnite i wiatер złamał (*podchodzi ku mężowi i kuca przy nim*).

GRZEŚ.

Tu przysiednij wpośrodku — ino dłućko poostrzę (*ostrzy je na brucie*). Wiatер złamał... A któż wiatrem rządzi? Kto go po świecie wodzi? A to ty nie wiesz, co w krzu gorejącym, zanim się ogień ukazał, wiatер wielki przypadł? Bez to widzisz nie darzy się nam, że wiary nie mamy. A kiedyżeś ty była u spowiedzi świętej? No widzisz.

(*wchodzi JASIEK KAWALEC*)

SCENA 7.

KAWALEC.

Witajcie — co robicie?

GRZEŚ.

Wytrzeszcz ślepie. Mógłbyś się przeżegnać.

KAWALEC.

A wiecie, co wam powiem? Będziecie dziś mieli gości, ani wiecie kogo.

JAGA.

No, no, któż taki?

KAWALEC.

Zgadujcie.

JAGA.

Z daleka?

KAWALEC.

Z daleka.

GRZEŚ.

Może wasz Franek.

KAWALEC.

Ktosi zza wody.

JAGA.

Z Woli Rafałowskiej? (*wstaje z kuczek*).

KAWALEC.

Zza wody, ale zza jakiej wody?

BUDYKA.

Zza słonej.

KAWALEC.

Rychtyk zgadliście. Bazanów Kubuś.

JAGA.

A cóż nic nie gadasz. — Dużo przywiózł?

KAWALEC.

Ponoś parękilka stówek, a przódziej też do kasy przysyłał. Będzie się — mówią — budował przy chmielarzu.

JAGA.

A posyłał już do Hanusi Łęzowskiej? — bo to skrós niej za morze jechał.

KAWALEC.

Uwidziała mu się ta kluska. Chce waszego prosić,
co by do starego Łęzowskiego poszedł.

GRZEŚ.

Cóż bym mu nie miał sąsiedzkiej przysługi zrobić.

BUDYKA.

A od Walka przywiózł co Zośce?

JAGA.

A prawda.

KAWALEC.

Może ta co i przywiózł.

BUDYKA.

Zbijak jeden, — gnaty żydowi łamać, to umie, ale
o babie nie pomyśli.

JAGA.

On ta nigdy o niej nie myślał, nie dopiero teraz.
Cóż z niej miał? Słone? — słone. Masło? — masło. Grzeje?
— grzeje. To cała Zośka.

GRZEŚ.

A toć twoja siostra.

JAGA.

Tobie trza się było z nią ożenić, pasowalibyście wraz.
(przed chwilą już widać było za oknem *PROBOSZCZA*,
który rozglądał się po obejściu jakby kogoś szukał,
wreszcie zbliża się do okna).

PROBOSZCZ

*(wtykając głowę przez okno). Jest Budyczka w domu?
(mała konsternacja, — GRZEŚ pierwszy podbiega do okna).*

GRZEŚ.

Ino Budyka.

BUDYKA.

Poślę po nią, a tymczasem jeśli łaska, może dobrodziej oddychną w izbie.

PROBOSZCZ.

Może daleko posyłać i długo czekać?

JAGA.

W rzece pierze.

BUDYKA.

Jasiu, skoknij po moją, a ty Grześ wyjdź prosić do izby *(wstaje z łóżka i idzie ku drzwiom, GRZEŚ i KAWALEC wychodzą)*.

JAGA

(półgłosem do BUDYKI). A cóż on chce od Maryny?

BUDYKA.

Wiem to?

SCENA 8.

(wchodzą PROBOSZCZ w płóciennym prochowniku, za nim GRZEŚ).

PROBOSZCZ.

Pochwalony Jezus Chrystus.

WSZYSCY

(*garnąc się do ręki PROBOSZCZA*). Na wieki wieków,
amen.

PROBOSZCZ.

Jak się macie, jak się macie... A gdzież Budyka?

BUDYKA.

A toć ja sam.

PROBOSZCZ.

Ach, to wy? Nie poznałbym was. Co wam to?

BUDYKA.

Choróbsko, wielebny dobrodzieju, okrutne choróbsko.
Bieda stąpić.

(*GRZEŚ przysuwa księdzu ławkę*).

PROBOSZCZ.

Dziękuję (*siada*). Tak, tak, słyszałem, że słabujecie.
A wy, Buwała, tu mieszkacie?

GRZEŚ.

Mam ich córkę, Jagę (*Jaga popchnięta, całuje księ-
dza w rękę*).

PROBOSZCZ.

Prawda, prawda, przecie to ja wam ślub dawałem. —
Ileż to już lat temu?

JAGA.

Na piąty idzie.

PROBOSZCZ.

Tak, tak. A dobrze ze sobą żyjecie? dzieci macie?

(*JAGA i GRZEŚ milczą*)

PROBOSZCZ

(*poglądając po obojgu*). Trzeba tylko Pana Boga prosić, to je wam da. Jeszczeście młodzi, możecie jeszcze mieć. Trzeba Boga prosić (*po chwili*). Ale, ale, dobrze, że was widzę. Przyjdźcie do mnie kiedy na plebanię. Powiem wam po prostu. Mój kościelny ledwo dycha, jużem go przed paru dniami dysponował. Jakby z niego duch, no to... Bo kościół nie może być bez obsługi... Otóż jakbyście chcieli...

GRZEŚ.

O, wielbny dobrodzieju...

PROBOSZCZ.

Nie dziękujcie przed czasem, kościelny jeszcze żyje, ale nie dźwignie się już chyba... Znam was żeście rzetelny, pobożny człowiek.

JAGA.

O, jakiego to świątka struga.

PROBOSZCZ.

Widzę, widzę, pobożny z was człowiek i pracowity. No, więc tak już będzie. A nie zróbcie mi zawodu. (*GRZEŚ i JAGA całują go po rękach*). A teraz zostawcie nas na chwilę...

GRZEŚ.

Pójdź, Jaga. Zabiereme to do pola (*zabiera niespasowany krzyż i wychodzi*). Niech będzie pochwalony.

PROBOSZCZ.

Z Bogiem, moi kochani, z Bogiem.

SCENA 9.

PROBOSZCZ.

Siadźcie, Macieju.

BUDYKA.

E, postoję.

PROBOSZCZ

(*z odcieniem zniecierpliwienia, zwolna przechodząc w szorstki ton*). Ale proszę was, siadajcie... Wracam prosto z miasta, gdzie był, w starostwie i w sądzie i tam dopiero dowiedziałem się, że to już nie wasze, że jesteście na wymowie. — Jak się to stało?

BUDYKA

(*zakłopotany, — naiwnie*). No przyszedł wójt, dwa sąsiady jak we zwyku...

PROBOSZCZ.

Eh! — Przecież grunt i dom był wasz.

BUDYKA.

Mój własny, po ojcach.

PROBOSZCZ.

Po cóż więc przepisaliście go na zięciów. Dlaczego cały na nich? Nie macie to żony?

BUDYKA.

Jużci mam... utratnicę!

PROBOSZCZ.

Tak? — Jakżeście wy tak mogli nie pomyśleć o niej? A jakbyście — nie daj Boże — zamknęli oczy, to gdzieżby się ona podziała?

BUDYKA.

Miałby po mnie z krzywdą moich rodnych dzieci gospodarzyć tu jaki włóczyki, dziadowska torba...

PROBOSZCZ.

Wstyďte się, Macieju. Nikt ze sobą nie zabierze stąd ani tyćko, i musi odchodząc zostawić żywym.

BUDYKA.

Niech ostawia kto chce...

PROBOSZCZ.

Twarde w was serce, Macieju.

BUDYKA.

Miało czas zatwardnieć.

PROBOSZCZ.

Ha, każdy robi jak chce a porachują się z nim na tamtym świecie. Ale jeżeli idzie o pieniądze, to i tu na tym trzeba się liczyć i to do grosza... Dlaczego mówicie o żonie: utratnica? Stroi się?

BUDYKA.

Gdzie zaś.

PROBOSZCZ.

Może do karczmy zagląda?

BUDYKA.

Nie, nie pije.

PROBOSZCZ.

No więc coś takiego? Na wieczornicach wysiaduje? po kumoszках chodzi? na jarmarki jeździ? No, chyba na jarmarki, bo po odpustach jej nie widuję.

BUDYKA

(z tępym uporem). Utratnica jest i tyle. Przódzi miała kilka grajcarów, to parobkowi powsinodze w rękę tkala, co by se tabaku nakupił, a bez wódki, jednej juzyny nie miał, psia para. Przyśliśmy na wymowę, to niczym z miasta donieśta wypreciesowany pieniądz, już bez drogę nakupiła to brus, to kukiełkę, to to, to owo, — diasi by to wszystko spamiętali. A i teraz niedawno... Lejba skarżył Samkowego Walka — no, niby mego zięcia — za klectwo. Co my się mamy za niego nadstawiać, jego rzecz, nie nasza, a on w Hameryce. Ale ona... taka dobra, taka troskliwa... tful inom ich raz spatrzył!... No, dość na tym, co na opłaty i hadwokata jałowica poszła i ciołek, a i tak kiepsko z odpuszczeniem czekał, bo my przegrali i żyd połowę wzię.

PROBOSZCZ.

Ach, tak? Teraz rozumiem... (*do siebie*) Coraz gorzej... Hm... (*głośno*) No, a powiedzcie mi czyście w ostatnich czasach sprawili co do gospodarstwa albo zamysłacie sprawić?

BUDYKA

(nie bez zdziwienia i niepokoju). Nie.

PROBOSZCZ.

Możeście co budowali albo jaką maszynę kupili?

BUDYKA.

Konia nie mamy, a maszynę do dwóch morgów kupowalibyśmy? A dlaczego wielebny dobrodziej o to pytają?

PROBOSZCZ.

Dlaczego? hm... Dlatego, mój Macieju... bo co tu się bawić w sekrety, — jesteście mąż, powinniście wszystko wiedzieć. Żona wasza pożyczyła u mnie pieniędzy i to sporo.

BUDYKA.

Co? co? Maryna? I dużo tego?

PROBOSZCZ.

Nie mało. — Sto koron.

BUDYKA.

Sto koron? na co? Sto koron... *(woła)* Jaga! Grześ!

PROBOSZCZ.

Nie krzyczcie! — to trzeba spokojnie wyjaśnić.

BUDYKA.

A jakże dobrodziej mogli jej tyle dać?

PROBOSZCZ.

Jakto: jak? Przyszła do mnie lamentując, że wam pilno potrzeba pieniędzy, że weksel wystawi potem, bo go nie ma aż dopiero go z miasta przyniosą, że bez tego zginiecie, że to, że owo... Widziałem z jej oszczędności, że dobrze gospodaruje, żeście porządni ludzie, wiem, więc zaufałem na kilka dni. Tymczasem nie pokazała się więcej na plebanii i ja dziś ani weksla nie mam, ani gotówki nie widzę. Jużci skoroście na wymowie, nic mi już po waszym wekslu i nie przyjmę go. No, ale zrozumiecie, że te pieniądze ja muszę z powrotem mieć.

BUDYKA

(*oszołomiony i bezradny*) Sto koron! sto koron! i na co! na co?

PROBOSZCZ.

Otóż właśnie, na co?

BUDYKA.

Jezu, Jezu, co jabym nie był taki łazarz, co by nie te opuchłe giczale, jabym ją przepytał piętukiem albo i luśnią.

PROBOSZCZ.

No, no, Macieju, — nie po to wam powiedziałem, żebyście ją skatowali, tylko po to, żeby się z wami naradzić i rzecz załatwić. Jestem pewny, że pieniędzy tych nie wydała, a przynajmniej nie zmarnowała. — Jeżeli je ma — odda, a nie — to znajdziemy inny sposób. Bo to rozumiecie, że ja przecie nie mogę ze swoich dołożyć do kasy. (*drzwiami z lewej wchodzi MARYNA*) Tak, tak jest, Macieju, — oczywiście...

SCENA 10.

MARYNA

(poglądając nlespokojnie to na męża to na PROBOSZCZA).
Dobrodziej mię wołali...?

PROBOSZCZ.

Tak... to jest nie ja, tylko... wasz posyłał po was.

MARYNA

(stawia cebrzyk z bielizną na klepisku i teraz dopiero całuje księdza w rękę). Toć wie, com poszła prac do rzeki.

BUDYKA.

Chodź-ino tu.

MARYNA

(idzie ku niemu parę kroków, trwożnie i pytająco ogląda się na PROBOSZCZA, który odwraca oczy).

BUDYKA.

Chodź-ino tu!

MARYNA.

Co chcesz?

BUDYKA.

Co chcę? *(gwałtownie)* Gdzie sto koron, coś od dobrodzieja wzięna?

MARYNA

(zmieszana cofa się przed nim o krok).

BUDYKA

(wstając i idąc ku niej). Gdzie pieniądze? — gadaj! *(chwyta ją za ramię)*. Gdzieś podziła pieniądze? *(trzęsie nią)*.

PROBOSZCZ.

No, no, Macieju pohamujcie się. Bardzo proszę, — spokojnie.

BUDYKA

(puszczając jej ramię) Oddaj pieniądze, ty utratnico.

MARYNA.

Od ciebiem ich nie brała.

BUDYKA.

Ale mnie oddasz.

MARYNA.

Nie oddam, bo ich nie mam.

PROBOSZCZ

(półgłosem). Ładna historia...

BUDYKA.

Nie oddasz?

MARYNA.

No nie, rozumiesz?

BUDYKA.

Słuchaj, Maryna, bo ja je z ciebie razem z duszą wytrzęsę!

MARYNA.

Nie wytrzęsiesz, choćbyś mi koszulę zdarł.

BUDYKA.

Gdzie je schowałaś?

MARYNA.

Szukaj jak chcesz.

BUDYKA.

Tak? tak? a jak najdę? (*zmlerza ku drzwiom*).

MARYNA.

Gdzie idziesz?

BUDYKA.

Gdzie idę? ciekawaś? — do drewnutni.

MARYNA

(*zastępując mu drogę*). Ani się waż!

BUDYKA.

Jużem ja przeznał twój schówek, jużem go wypatrzył.

MARYNA.

Maciek, Maciek stój (*chwytą go*).

BUDYKA

(*odtrącając ją*). Idź precz, bo ci gnaty zprzetnęcam (*wychodzi*).

SCENA 11.

MARYNA

(odtrącona przez męża stoi chwilę bezradna, potem zaczyna płakać).

PROBOSZCZ.

No, moja Budyczko, rozumiecie chyba... Ja nie mogę, moiście wy...

MARYNA

(padając mu do nóg). Dobrodzieju, wielbny dobrodzieju, my oddamy, my się wypłacimy...

PROBOSZCZ.

Oddamy, wypłacimy, ale z czego, z czego, kobieto?

MARYNA.

Wypłacimy się.

PROBOSZCZ.

Najłatwiejsza wypłata nie robić długu. — I na co, na co wyście pożyczali?

MARYNA

(wstając z kolan). Przegraliśmy proces. Sąd przyznał Lejbie spółność i trzaby się odkupić przecie...

PROBOSZCZ

(zmienionym, współczującym tonem). Rychło w czas, rychło w czas! To wy nie wiecie, czym się kończą takie spółno-

ści z karczmarzem? Nie wy się u niego odkupicie, ale żyd jak zawsze kupi od was drugą połowę (*chodzi tam i z powrotem*).

MARYNA.

My nie myślimy przedawać.

PROBOSZCZ.

On was do tego zmusi.

MARYNA.

Żyd tak ino gada.

PROBOSZCZ.

Właśnie że żyd mało gada a dużo robi. A czy wy wiecie, że już jest rozpisana na wasz dom licytacja?

MARYNA.

Co?!! — (*spokojniej*) To nie może być.

PROBOSZCZ.

Byłem rano w mieście i na własne oczy czytałem edykt.

MARYNA.

Jezus Maryja! a gdzie tu sprawiedliwość?

PROBOSZCZ.

Taką jest ustawa.

MARYNA.

Nie, nie, nie!... przecie my nie są winni. Za cóż nas mogą wyprzedać, za co? — Ratujcie dobrodzieju.

PROBOSZCZ.

A cóż ja mogę? Nic, ale to absolutnie nic.

MARYNA.

Przecie my nie są winni, przecie my nie są winni...
Jezus Maryja... (*z głową w dłoniach*) My niewinni.

PROBOSZCZ.

Za winy ojców pokutują dzieci, ale i za dzieci ojce
płacą. Winni, niewinni... Opatrzność wszystkim rządzi,
a czy my możemy wiedzieć dlaczego mnie albo was taką
drogą prowadzi a nie inną? A może dla waszego zba-
wienia tak trzeba, żebyście poszli na żebrzy.

MARYNA

(*nieprzytomnie*). Co? co dobrodziej mówią? (*wysila się na
uwagę*).

PROBOSZCZ.

Powiadam, że może w tym leży wasze zbawienie.

MARYNA

(*zapatrzona w dal*). A może... a może... (*namiętnie*) Hej,
niech ino raz pies obróć zerwie, ino raz!...

PROBOSZCZ.

Co wam po głowie chodzi?

MARYNA.

Jeszcze nie wiem co... Cosi chodzi, cosi chodzi...

SCENA 12.

BUDYKA

(*wchodząc z lewej*). Niech wielbny dobrodziej odpuszcza tej... Tu są (oddaje *PROBOSZCZOWI* zwitek banknotów)

PROBOSZCZ.

(*odbiera je skwapliwie, spostrzega, że jest ich więcej*).

BUDYKA.

Dużo ich przemarniła?

MARYNA

(*zauważywszy cień zdziwienia w twarzy księdza, ujmuje jego dłoń z banknotami i zamyka ją*). Niech dobrodziej zaś schowają do kasy.

PROBOSZCZ

(*wldząc jej pomieszanie, półgłosem*). Wszystkie?

MARYNA.

Miałyby się rozejść na marne... (*patrzy mu błagalnie w oczy*).

PROBOSZCZ

(*zrozumawszy jej intencję*). No, skoro chcecie, dobrze... U mnie pewniejsze... (*chowa do kieszeni*).

BUDYKA.

Kogoś ty chciała oszukać, ty?!

PROBOSZCZ.

Nikogo, Macieju. Potrzebowała tych pieniędzy, ażeby zaspokoić Lejbę.

BUDYKA

(*zły*). Ty niewstydnął to ty jeszcze za Walka, za tego zbijaka...!

PROBOSZCZ.

Macieju, Macieju, wstydziecie się przy swym duszpasterzu łajać pocziwą kobietę.

MARYNA

(*okrywa pocałunkami wdzięczności dłoń księdza*).

PROBOSZCZ.

No, no, Budyczko, nie trąpcie się, Bóg wielki i miłosierny (*głaszcząc ją po głowie*). Jesteście dzielna i pocziwa kobieta.

MARYNA

(*wybuchła szlochem, lecz opanowanym przemocą*).

PROBOSZCZ.

No, no, nie płaczcie, no, no... Wszystko jeszcze będzie dobrze. Zobaczycie. — A teraz zostańcie z Bogiem i Bóg wam pomaga.

BUDYKA

(*stropiony łaskawością księdza dla Maryny*). Daj, Panie Jezusie.

(*PROBOSZCZ i MARYNA wychodzą do sieni*).

PROBOSZCZ.

(*już w słońce*). A Bukła niech pamięta przyjść do mnie.

SCENA 13.

BUDYKA

(podprowadził oboje do drzwi i usiadł na tapczanie Jagt koło drzwi w lewo. — Śledząc jak Maryna odprowadza księdza). Co się to ma znaczyć?... Cosi mu dogaduje... Zaś się wraca... A może... To by jej dał cicho, nie odbierał... Czy ja wiem, czy ja już wiem, co w tej babie siedzi...

(po chwili MARYNA wraca i zaczyna bieliznę kawałek po kawałku rozkręcać i wieszac na rozciągniętym przez izbę sznurze).

BUDYKA

(wodzi za nią złymi oczyma, — po chwili takiego śledzenia). Cóż taki wiatер po izbie robisz? co by mię bardziej w giczalach bolało? Ileżes tych spodniców naprała? Cztery wdziejesz na siebie? A może sześć, co byś była bardziej biedrzysta i co by za tobą parobki gonili? (pauza) Coś ty musiała napędzić dobrodziejowi, co się w tobie tyle dobrości dopatrzył, ty kłamico zatracona (pauza). A wiesz ty, co ja kiedyśi znalazł tu na izbie? Ani wiesz, co. Widzisz ty? (wydobywa zza pazuchy okrągłe zwierciadło, które w pierwszym akcie dał był Jaśkowi KAWALCOWI. — MARYNA przez cały ciąg tej sceny robi swoje w milczeniu. — Jej spokój rozwściekla BUDYKĘ). Nie ma Walka, to ci i Jasiak Kawalec dobry? Taki... taki... pędrak! (cisza lusterkiem o klepisko, — pauza). No, ozwij się, psia krew, bo... bo cię!... (wstaje, chce iść, ale wskutek bólu siada bezwładnie na łóżku). A... a... (jęcząc zapada w milczenie rozpaczny).

(MARYNA robi swoje, — po chwili wchodzi JAGA).

SCENA 14.

JAGA.

Cóż dobrodziej od was chciał? *(pauza)* Oniemieliście czy co? — No mówcie, co chciał?

MARYNA.

Niech ci ojciec powie.

JAGA

(pogląda zdziwiona na oboje, wzruszywszy ramionami spostrzega na ziemi i podnosi rozbite lustro). O! a ktoś moje lustro rozbił?

MARYNA.

Niech ci ojciec powie.

BUDYKA.

Twoje to?

JAGA.

A czyjeżby?

BUDYKA.

Tania jesteś, moja córuś, tania... Za takie figli migli...

JAGA.

Cóż wam się увидziało?

BUDYKA.

Pójdź ku mnie.

JAGA.

Abo co? *(podchodzi ku niemu).*

BUDYKA.

Chodź, chodź... Tfu! (*pluje jej w oczy*).

JAGA

(*zamierzając się na niego*). A wy se co myślicie!...

MARYNA

(*pochwyciwszy ją jedną ręką, a grożąc drugą*). No, no, ino zwolna.

JAGA

(*czując żelazny uścisk*). Co ty tu włączysz między ojca i dzieci...

BUDYKA

(*podnosi się z tapczanu i wymyka drzwiami w lewo*)

MARYNA

(*z ironią*). Jaguś, Jaguś, nie przezbijaj się ze mną, ino idź na zapłocie, bo już czas.

JAGA.

Co na zapłocie? Komu czas?

MARYNA.

No, nie mnie.

JAGA.

I komu to skalować? he, he. Patrzcie ją! No, ja cię wkiędy jeszcze zdybię tak, co pożałujesz... Ale, ale, jaka święta... A z tą tu bielizną precz! (*zdziera kilka kawałków z komina i na ziemię zrzuca*). Słyszycie co mówię?

MARYNA

(*podniósłszy je najspokojniej*). Nie pomiataj cudzą pracą.

JAGA.

A cóż tu mają te kiecki robić? gościom nad głową szuścić?

MARYNA

(*robiąc swoje*). Nie do gości mi.

JAGA

(*zapalając ścienną lampkę naftową nad stołem między oknami*). Umknijcie się z tym do komory. Oni waszych łachów nie ciekawi.

MARYNA.

Kto oni?

JAGA.

No, stary Bazan i Kubuś.

MARYNA.

Baj-że baję. Kubuś by wrócił?

JAGA.

No to nie

(*za oknem odzywa się ustna harmonijka, JAGA zerknęła w okno nieznacznie*).

MARYNA.

Kubuś? — Przecie mu tam dobrze było, pieniądz wielki zarabiał.

JAGA.

Eh, co się tu wam będę sprawiać. Poprzątajcie to do komory a dość.

(MARYNA, która wiadomość o powrocie młodego Bazana przyjęła nie bez zdziwienia, zebrawszy w cebrazyk część bielizny wychodzi z nią do komory w prawo. — JAGA spojrzata znów w okno, dała komuś znak ręką, potem żywo spod poduszek tapczana w lewo wydobywa flaszeczkę lichych perfum, pociera sobie nimi twarz i przód gorsetu, po czym w resztkę stłuczonego lusterka przegląda się pod światło lampki. — MARYNA wraca z pustym cebrazykiem, który z pewnym hałasem stawia na klepisku. — JAGA chowa szybko lusterko, spoziera w okno. MARYNA zauważyła jej niepokój).

JAGA.

Jakosi ich nie widać... Skoknę do sklepiku, może zborgują jeszcze (narzuca na siebie chustę i zmierza ku drzwiom w lewo, — już prawie we drzwiach). Na okrasę przydałby się bodaj śledź (wybiega).

MARYNA.

Tej zawdy do tego śledzia śpieszno .. (dźwięki harmonijki za oknem milkną). O-ho, już kogut przestał pisać... Latawica! nic ino by się gziła... (mówiąc to nabrała w cebrazyk bielizny i idzie z nią ku komorze w prawo. Kiedy już ma w niej zniknąć, drzwiami z lewej wchodzi KUBUŚ BAZAN. — Lat około 30, odziany po miejsku, w kamaszkach a nie butach, kurta i spodnie w kratę, kołnierzyk i krawatka, na kolorowej kamizelce gruby pończocisty tańcuch od zegarka).

SCENA 15.

KUBUŚ.

Dobry wieczór.

MARYNA

(*odwraca się, stawiając cebrzyk koło komina*). Dobry wieczór... Pan do kogo? (*zastłoniwszy sobie oczy od światła lampki*). Retyści, a toć'eś ty Kubuś Bazan.

KUBUŚ.

Yes, jak się masz Jaga?

MARYNA.

Ja nie Jaga, ja Budyczka.

KUBUŚ

(*niepewnym głosem*). Budyczka...?

MARYNA.

Starego Macieja Budyki żona, a drzewiej Marysia Klamczanka. — Siadaj-że. Radam, co cię widzę.

KUBUŚ

(*jeszcze nie orientując się*). Klamczanka?... Marysia?... A-ha! Marysia! Nie poznałbym cię.

MARYNA

(*z lekkim odcieniem smutku*). Nie ty jeden.

KUBUŚ.

Ktoś mi jeszcze w Milwauke mówił, że się Budyka ożenił, ale z kim? nie wiedziałem. Klamczanka .. (*przypatruje się jej*). Coś się wam oczy zmieniły i twarz wydłużyła.

MARYNA.

Czas nie czeka ino ucieka, a życie twarde.

KUBUŚ.

Ono wszędzie twarde, ale nie takie jakieś zatuchłone i zakisłe jak tu u was. Gdzie spojrzeć — bieda.

MARYNA.

Jużci bieda i źle i lepiej nie będzie. Ja się dziwuję, coś wrócił.

KUBUŚ.

Coś mię ciągnęło. Rad'em jechał, ale jakby padło, to bym się zaś wrócił. Wziąłem nawet szyfkartę returkę.

MARYNA.

Dużoś tam zarabiał?

KUBUŚ.

Pracowałem w garbarni.

MARYNA.

Ciężka robota?

KUBUŚ.

No, tam nie można tak jak tu cały dzień ino się z much oganiać. Tam trza robić, ale jak'eś nie wałkoń, to do roku odłóżysz dwie stówki i więcej.

MARYNA.

Dwie?

KUBUŚ.

Całkiem letko. A to na wasz pieniądz pięćset koron.

MARYNA.

Pięćset? hm, hm... (*z nagłymżywieniem*) No słuchaj, a baby co tam robią? Do służby się godzą? za kucharki? (*widząc, że kręci głową*) A na ten przykład pralnie tam są?

KUBUŚ.

I jakie! Jedne są jak wszędzie po świecie i w takich piorą chińczyki. Ale jak się gdzie przy hotelu uwiesisz — ho! ho! — toś pani, prawdziwa pani.

MARYNA

(*natwnie*). Ale przecie nie w morzu i nie kijanką?

KUBUŚ

(*z uśmiechem*). Kijanką?... Maszynami.

MARYNA.

A przyuczy się na nich wnet?

KUBUŚ.

Toć nie święci garnki lepią.

MARYNA

(*po chwilce zadumy*). A jak myślisz, nauczyła bym się ja?

KUBUŚ.

Jechała byście?

MARYNA.

Ptakiem! duchem!... (*z refleksją, więcej do siebie niż do niego*) Ino ta obróż, ta obróż!...

(*pauza*).

KUBUŚ.

Coś mój stary nie przychodzi (*pogląda na zegarek*).
Już ósma godzina.

MARYNA

(*pochłonięta swymi myślami*). A ty, Kubuś, rychło byś wracał?

KUBUŚ.

To zależy...

MARYNA

(*z kobiecą domyślnością*). Od Hanusi Łężowskiej.

KUBUŚ

(*zdziwiony nieco*). No... jak chcecie wiedzieć prawdę, to od niej. Da mi ją stary Łężowski, to się pobuduję i zostanę.

MARYNA.

Co by ci jej nie miał dać. Da i ostaniesz, a ja, ja bym mogła... Kubuś, mój Kubuś... Jakby mi trza było... Kubuś, dałbyś mi swoją returkę, co? Ja bym ci za nią stamtąd wróciła pieniądze. Dasz mi? (*słychać czyjeś kroki w sieni*) Pssst, ja to ino tobie mówię, nie zdradź mię przed nimi... (*z lewej wchodzi JAGA i stary BAZAN*).

SCENA 16.

JAGA

(jeszcze w sionce). Samiście ino? a gdzież Kubuś? *(wchodzą).*

MARYNA.

Kubuś już tu. — Witajcie.

BAZAN.

Pochwalony.

JAGA.

Jak się masz, Kubuś? *(podbiega do niego)* No, coś ty? nie poznajesz?

KUBUŚ

(przygląda się jej, trochę zakłopotany). Nie dziwota, bo ciemno tu u was jak w kolpicie *(drzwiami z lewej wchodzi BUDYKA).* A-ha, Jaga *(potrząsa jej dłoń).* Jak się masz, jak się masz.

JAGA

(krygując się przed nim zalotnie). Jak widzisz, jakam była takam jest.

(MARYNA z cebrzykiem wychodzi do komory w prawo)

BUDYKA.

A mnie starego poznajesz?

KUBUŚ.

Yes, witajcie, witajcie — *(potrząsa mu dłoń)* A wy jak się macie?

BUDYKA.

Jak łazarz, już do krzty łazarz. Tyś za to wyrósł na pana. Niech ci się przypatrzę. Ino mię doprowadź do ławy (*KUBUŚ prowadzi go ku ławie u stołu i sadowi*, — *JAGA zaczyna się krzątać koło zastawienia jadła* — *MARYNA zaś koło drzwi do komory raz wraz rozkręca jakiś kawałek bielizny, wychodzi z nim do komory i znów wraca, czasem zaś w drzwiach komory przystaje i ukradkiem przysłuchuje się rozmowie toczonej w głównej izbie*).

BUDYKA

(*już usadowiony na ławie*). Widzisz, co się ze mnie zrobiło? Dość, co chcę spojrzeć na kogo, to już se muszę siednąć.

KUBUŚ.

Wiem, wiem, co was ta choroba morduje. Jużem i w Ameryce o tym słyszał.

BUDYKA

(*nle bez dumy*). No, no, to i tam wiedzą, com taki słaby.

KUBUŚ.

Mówił mi Walek Samków, — no, wasz Walek.

BUDYKA

(*nlemile dotknięty, podejrzliwie*). Taki on mój... To bywaliście wraz? przyjaźniliście się?

KUBUŚ.

Raz tylko go widziałem, jak jechał z kompanią drwalów gdzieś za Ontario.

BUDYKA.

To on już nie w Hameryce?

BAZAN.

W Ameryce, ale gdzieś daleko.

KUBUŚ.

Za Ontariem. Tak się nazywa wielkie jezioro. Tam gdzieś robią.

BUDYKA.

Prawie takiemu zbijakowi w lesie siedzieć.

KUBUŚ.

Jak na dobrą kompanię trafił, to się wnet dorobi. Bo tam dziwny, wielki, przestrony świat. *(MARYNA porzuca robotę z bielizną i, kryjąc się za uszak drzwi od komory, pożera każde słowo Kubusia).*

BAZAN.

Musisz im to wszystko opowiedzieć

BUDYKA

(oglądając się na Jagę). Ale przecie nie o suchej gębie.

JAGA.

Nie okwity stół, bo ino jajeśnica. A i nie wiem, czy się najdzie choć kropla przepalanki. Ale to już Kubuś wybaczysz.

KUBUŚ.

Tym łatwiej, żem przestał pić.

BUDYKA.

Ślubowałeś?

KUBUŚ.

Nie, tam tego nie trzeba, przestałem sam od siebie. Tam nie ciągnie do kieliszka. Czemu? nie wiem, dość, że nie ciągnie. Jużci, kto jest sam ze siebie „tramp“ to jest gałgan, no, to głoduje i chodzi obdarty. Takich tam też nie brak. Ale to dziwne, że tam nasi nie gałganieją, ino się dźwigają, jakiś w nich inny duch wstępuje. Ja wam powiem tak: tam jest życie cięższe, ale krzepciejsze. Tu wszystko śpi, — tam wre, tutaj wszystko zduszone — tam wolne! Każdy sobie pan, każdy człowiek. Poczuć się nareszcie człowiekiem, to jest — widzicie — to, co starczy za ślubowanie od wódki, to jest to, co tam ludzi w górę gna. Posłuchajcie, to wam opowiem, jak taki chłopiec, co na ulicy gazety sprzedawał, został prezydentem całej Unii to jest wszystkich Stanów. Nie miał więcej jak dziesięć lat, kiedy osierociał i musiał na siebie i matkę zarabiać...

(kurtyna zwolna zapada).

KONIEC III-go AKTU.

AKT IV.

SCENA 1.

Ta sama izba, zmieniona o tyle tylko, że spod lewej ściany w proscenium zniknęło łóżko Bukatów. — Także wielu innych sprzętów brak; obrazy ze ścian usunięto. — Na scenie siedzą BUDYKA i DIAK. — Po chwili milczenia:

DIAK.

Tak to już pewnikiem jutro?

BUDYKA.

Ino tę noc jedną, a jutro o ten czas... o dwóch kijkach, nie z domu ani do domu, ot! tak w drogę.

DIAK.

We świat z ciepłego kąta, ze swego...

BUDYKA.

Po chałupach jasno, wesoło. Toć nowe latko i godn czas, cóżby się nie mieli cieszyć? Abo to ich kto wygania? Wszędyj radości i światła tyle, co aż bez okna na drogę wybiega i prosi: pójdź i ty o tych dwóch kijkach, pójdź i ty na tych opuchłych giczalach... E, nie dziadowi do waszej kompanii — dość, co se ino bez błony popatrzę... Tak oni nic, bo i nie słyszą, ale Waruś zawietrzył. — Waruś, Waruś, do gaci moich wérczysz? do łydków? Widzisz jakie to mam opuchłe giczale. Toć'em dziad, łazarz... Ha, kiejś łazarz, to cię polizam... i ogonem mérda i liza. Taka ci miłosierna bestyja.

DIAK.

Wiadomo. A jak kudłaty, to i ogrzeje. Na to mu Pan Jezus futro dał.

BUDYKA

(*chwilę pomilczawszy*) Psu futro dał, liszce dał, wilkowi jeszcze jakie, a do tego moc i zawziętość, co by i owcy pojadł i ciepło się przespał. — Jakaś silny i zły, to ci będzie dobrze, a słabyś? — no to zdychaj?

DIAK.

No, no, akuratnie tak.

BUDYKA.

No to kto tym światem rządzi? kto?

DIAK.

A nie wygnały to mię dzieci?

BUDYKA.

No to dzieci, własna krew, a mnie wygania prawo, (z *ironią*) a każde prawo święte.

DIAK.

Co byście byli zdrów, co by wam nie te nogi z trefunku...

BUDYKA.

A właśnie, z trefunku. Wszystko, co się dzieje, z trefunku się dzieje. A trefiło się wam wkiędy co dobrego? A-ha! zawdy ino złe. No to kto nim rządzi jak nie zły?

DIAK.

Odegnajcie-ż go krzyżem świętym — *(żegna się przesądnie i oczyma szuka na ścianach świętych obrazów)*.

BUDYKA

(machnąwszy ręką). Nażegnałem się dość...

DIAK.

A gdzież się obrazy podziały?

BUDYKA.

Zabrali na nową siedzibę ku plebanii. Takim próżniakom dobrze. Na gotowe do ojców przyszli, zechlali, co było, starych do dziadowskiej torby przywiedli, a teraz kąt ciepły mają, kolędy mają, od podzwonnego też grajcar kapnie... Ino ja im nic już nie dam, jak zamknę oczy.

DIAK.

Nie kwapi się jasnokoścista ku tym, co się jej dopraszają.

BUDYKA.

No widzicie, nawet ona słabymi pomiata, a przyjdzie ino ku silnemu, co ją na postronek chyci.

DIAK.

A uchyci to ją?

BUDYKA.

Co by nie. A wiecie jak? Tak... *(wykonywa gest zakładającego sobie stryczek na szyję)*.

DIAK.

Bodaj-że was... (*ogania się przed złą myślą, przeżegnawszy się klepie pacierz i kończy głośno*) i nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego, amen...

(*pauza*).

BUDYKA.

Nie eni was, Diak?

DIAK.

Jużci eni —

BUDYKA.

A i mnie. Pojźryjcie hań na półkę. Może się gdzie jaka kropla najdzie.

DIAK.

(*gramoląc się na ławkę w głębi i szukając potem na przyściennej szafce w lewo*). Oj to to, aby się choć kapkę ozgrzać. Od wczora nic nie jadłem... (*zdejmuje z półki flaszkę*). Szklanka jest, ale próżna... (*ogląda ją pod światło komina*).

BUDYKA.

A nie skoklibyście?

DIAK.

Co by nie, skoknę.

(*BUDYKA wstaje, idzie ku plecowi, — nagle zatrzymuje się i nasłuchuje w stronę steni*).

BUDYKA.

Widzi mi się, co dźwierze od pola skrzypnęły. — Idźcie pojźreć, Diak.

DIAK

(złazłszy z ławki śledził uważnie każdy ruch Budyki).
Może chłopaki, bo z turoniem chodzą.

BUDYKA.

Nie najdą tu kołacza. Ale pożryjcie, mówię wam.
(DIAK wychodzi do stenu, — BUDYKA, bacząc, by go
nie podpatrzono, podwęża siekierą jedną deskę w gzymsie
kapy komina i wydobywa stamtąd stary, zatluszczony
pugilares. — DIAK wraca).

BUDYKA.

Macie tu dwa szóstaki

DIAK

(pożerając oczyma pugilares). Hej, musicie mieć w tym
pularesie pieniędzy...

BUDYKA.

Co mam, to mam. Biercie szklanekę i grajcarey...

DIAK.

Dużo wam z tej wyprzedazy zbyło?

BUDYKA

(chowają pugilares za pazuchę). Musiał mi żyd osobiłwie
zapłacić za ogród, bom se ogród u zięciów wymówił..)
Żebyście mi do tego psubrata Lejby nie szli, ino do
Mordki do Dylągówki.

DIAK.

O raju! tyli świat, a mróz. —

BUDYKA.

Toście krzepki i możecie. — Śliowicy.

DIAK.

U Mordki śliowicy nie dostanie.

BUDYKA.

To innej.

DIAK.

Kie żadna tak nie grzeje, jak węgierska. Czy to
Lejba musi wiedzieć, że to dla was?...

BUDYKA.

Do Mordki kazuję wam, rozumiecie.

DIAK.

No jużci, możecie kazować. Jesteście gospodarz, a ja
co? dziad wsiowski.

BUDYKA.

Ma się wiedzieć. — Skoknijcie, ino duchem.

DIAK.

Ziáb mię pogna. (*wychodzi*).

BUDYKA

(*ślada na ławie przed kominem, wytrząsa pieniądze z pu-
gilaresu i zaczyna je przeliczać; odkładając jedną kupkę*).
To tak by było, jak dziesięć... Nie... (*liczy*) Raz, dwa,
trzy, cztery... no dziesięć. (*nadśluhuje w stronę steni
i znów liczy*) Raz, dwa, trzy... zaś dziesięć, a i tego
drobiazgu trocha. Za tyli pieniądz toby mię bodaj kto do

przednowku chował, a potem jak Bóg da. — Może jako ozdrowieję... A i Maryna też zarobi. No jużci, co by nie miała zarobić... (*nasłuchuje w stronę drzwi*) Tam ktośi chodzi... (*prędko zgarnia pieniądze — grubsze wkłada do pugilaesu, drobne zaciska w dłoni. Drzwiami z lewej wchodzi WALASKA w ciepłej zimowej chuście, pod którą ukrywa jakiś spory przedmiot*).

SCENA 2.

WALASKA.

Dobry wieczór, sąsiedzie.

BUDYKA.

Komu dobry, to dobry.

WALASKA.

Oj to to. A zaś jak zły, to zły. To już tak. Kółko się toczy, raz'eś na nim, raz cię do ziemi gniecie, — to już tak. (*nieproszona siada obok Budyki*) Ale tu u was ciepło.

BUDYKA.

No ciepło.

(*pauza*)

WALASKA.

Samiście ino, sąsiedzie?

BUDYKA

(*nieco opryskliwie*). Nie „sąsiadujcie“ mi tak, bo to do jutra ino.

WALASKA.

Ja wiem coście na mnie źli i urazę do mnie macie. Ale o szkodę się upomnieć abo się ta czasem i poswaryć, sąsiedzka rzecz jest. Toż nie mielibyście złego serca do mnie mieć, bo i za co?

BUDYKA.

Już się skończyło, nie ma co rozpominać.

WALASKA.

Boże mię broń rozpominać, ale jak se pomyślę, że tu od jutra żyd poganin będzie siedział, to mi was żal.

BUDYKA

(z ironią) Mnie też żal, co z bliska was pójdę.

(pauza)

WALASKA.

Waszej nie ma?

BUDYKA.

Od rania gdziesi goni.

WALASKA.

A i ja od rania jeszcze nie wyrażała za próg. To przy dzieckach, to przy statku, to wele komina jest co robić... Bośmy dziś na nowe latko piekli chleb. A tak mi się udarzył, co cud. Popatrzcie ino, jeszcze ciepły (*wydobywa spod chusty bochen chleba*).

BUDYKA

To go będziecie jedli.

WALASKA.

Skosztujcie jaki dobry. A i na kilka dni starczy, to się wam przyda.

BUDYKA.

A to niby co chcecie z tym chlebem?

WALASKA.

Nic... ino mówię, co byście go skosztowali (*posuwając po ławie bochen ku niemu*). Przyda się wam.

BUDYKA.

A wam się przyda grajcar? (*wstaje z ławy*)

WALASKA

(*dobrodusznie*). Onego nigdy za wiele.

BUDYKA.

(*biorąc z zamkniętej garści trochę drobnych*). To go macie. Mało? — to wam dodam.

WALASKA

(*wstając z ławki, zakłopotana*). E, ja przecie ino po sąsiedzku...

BUDYKA

(*z wściekłością*). Zabieraj se swój bochen i wynocha! Słyszycie? — jeszcze nie chodzę o proszonym chlebie!

WALASKA

(*rozżalona*). To nie widzicie, co od serca to robię.

(*wchodzi GRZEŚ BUKAŁA*)

SCENA 3.

BUDYKA.

Ja też od serca was stąd wyganiam. Jeszcze wam mogę dwa razy za ten bochen zapłacić, a i trzy a i cztery.. (*rzuca w nią drobnymi kawałkami*). Dziadowi go dajcie, jak przyjdzie skamłęcy. Syki pyskate...!

WALASKA

(*do GRZESIA*) To mi tak za sąsiedzką dobroć płaci.

GRZEŚ.

Nie trza, ojczy, ani sercem ani chlebem pomiatać, bo to grzech, śmiertelny grzech. (*zbiiera grosze z klepska*).

BUDYKA.

Mój, nie twój... Zabierajcie se to, słyszycie Walaska? (*ujmuje chleb i potrząsa nim*).

GRZEŚ

(*biorąc mu chleb z ręki*). Co wam to? darem boskim byście ciskali?

WALASKA.

Dobrze, co kija nie ma, bo by mię sprął.

GRZEŚ.

Daremniście go przyniesła?

WALASKA.

Po sąsiedzku.

GRZEŚ

(kładąc chleb na stole). To wam po dawnym sąsiedztwie dziękuję. Bóg wam zapłać.

WALASKA.

Niech wam na zdrowie pójdzie. — A wy, Budyka... E, zresztą ostańcie z Bogiem. Użałam się was, ale więcej już nie będę. — Bywaj zdrów, Grzesiu.

GRZEŚ.

Boże was prowadź. — Ino poziór dajcie, bo wiązkę chróstu'm w progu od pola ostawił.

(WALASKA wychodzi)

SCENA 4.

GRZEŚ

(wyciągając ku Budyce dłoń z pozbieranymi pieniędźmi)
Musicie mieć dużo okrągłych, kie nimi siejecie.

BUDYKA,

Pozbierałeś? — to se je weź.

GRZEŚ.

Nie moje, ino wasze.

BUDYKA.

A pierwszego roku jakeście tu ku nam przyszli siedzieć, tyś siał żyto i pszenicę czy ja? A zebrałeś i zjedliście, zechlali. Zechlijże i to.

GRZEŚ.

Co boskiego Bogu, co césarskiego césarzowi, a marnie — by to i plewka była — grzech. Dajecie? schowam, będziecie potem mieli jak nalazł. Jeszcze się o nie będziecie prosić (*chowa pieniądze*) — Bo jużci macie się gdzie u obcych poniewierać, no, to my by was wzięli. Jest tam przy nas komórka niewielka i niejasna, ale ciepła, bo krowy bez ścianę. Rychtyk by to dla was było dobre. Jużem mówił z dobrodziejem. Ulitował się was i pozwolił, ino fajczyć co byście nie śmieli, bo plebańska stodoła o krok ino.

BUDYKA.

A podściółkę mi dacie? nie pożałujecie? Toście dobrzy, litosierni. Wy ta wiecie, com łazarz, co nie będę przebierał. Na czym już krowa dla łajna nie ustoi, to mnie dacie. To wam dziękuję.

GRZEŚ

(*nie zauważywszy tronił*) Głodnego nakarm, chudobnego weź pod dach, to już wiecie, że ja taki, takie już serce mam. Może tam Jaga nieraz na was fuknie, stuknie — no, baby zawdy wielkie gęby mają — co byście na to patrzali. (*Wchodzi Maryna*) Jaga nie jest zła, ino skrzętna i szparująca. Za ogród ładny pieniądz wzięliście...

SCENA 5.

MARYNA

Ten pieniądz musi starczyć do Wielkiej Nocy abo i Świątek, to se pamiętajcie.

GRZEŚ.

Musi, musi... A jak nie starczy?. Ładny pieniądz, ale się wnet minie na dwoje.

MARYNA

Ja na siebie zapracuję.

GRZEŚ.

No jużci. Ale jak was nie wezmą nikaj?

MARYNA.

Słuchaj, Grześ, wyżywicie ojca bez zimą?

GRZEŚ.

Com powiedział, strzymam.

MARYNA.

No to strzymaj, o resztę się nie turbuj, nie dopytuj, nie karkuluj, moja w tym głowa. Tych kilkanaście papierków, to ja ich nie wzięna sobie, ino ojciec wziął i za to go przecieć o zimę przechowacie. Toć'eś przyrzekł.

GRZEŚ.

Com powiedział, strzymam. Ale o robotę teraz kobiecie niełatwo. Toć zima, a do leśnych robót was nie wezmą.

MARYNA.

Jeszcze ci raz pedam: o mnie się nie trap, bo ja se radę dam. Przechowajcie ojca do wiosny, a ja już za niego potem płacić będę. Nie wezmą mię tu, to mię wezmą w drugiej wsi, nie we wsi, to w mieście.

GRZEŚ.

Jakże to? Toć'eście mąż i żona

MARYNA.

Jakby nie mogło być inaczej, to co robić. Lepiej z daleka pracować, niż z bliska próżnować.

GRZEŚ.

Hm... Ja wam ino tyle powiem, co w naszej katolickiej wierze, to źle czy dobrze, baba z chłopem siedzieć ma. Toście wy nie katoliki? toście pogany? Przecie ślub to jest ślub! i co tu na ziemi związane, to już tak jakby, na wieczność, to już nieprzymierzający...

MARYNA.

(wpadając mu w słowa) Wiesz, co, Grześ? ty jeszcze organistym z kościelnego zostaniesz. — Bardzoś jest mądry, drugim do rady prędko, ino pod swoim nosem nie widzisz *(wychodzi do komory w prawo)*.

GRZEŚ.

Niechże ta, a ja swoje wiem. *(do Budyki)* Jutro po mszy świętej, a już najpóźniej koło południa przyjadę po was i po rzeczy. Komórkę dla was już przyrządził, szpary omszyli, pod pierzyną nie będzie wam zimno. A i też pozwolicie, co tam Jaga do was kojęc z kurami wstawi, bo u nas sień ciasna i pomarzęby w tyle mrozy. To wam tam przecie nie będzie wadzić, a jak w nocy zaczną pisać, to wam będzie weselej. *(widząc, że BUDYKA pogrążony w myślach nie słucha go, wstaje rozgląda się po izbie)* Możeby i teraz zawziąć co

ze sobą, byłoby jutro mniej, a sanki malusie... (*idzie ku szafie w lewo w głębi, zdejmując kilka garczków, opukał, nadbity odstawia na bok, całe przygotowuje do zabrania. — Po chwili słysząc w sieni otrzepywanie śniegu z butów. Wchodzą pośpiesznie JAGA i ZOŚKA.*)

SCENA 6.

(*wszedłszy rzucają po izbie niespokojne spojrzenia*)

JAGA.

Dobry wieczór. — Jest macocha?

GRZEŚ.

Jest

JAGA.

(*do Zośki*) Tośmy jeszcze na czas. (*do mężczyzn*) Jak myślicie? jak myślicie, ojciec: gdzie macocha tu z tela pójdzie?

BUDYKA.

Tam gdzie i ja.

JAGA.

Toście nie zgadli. Ani wiecie gdzie.

BUDYKA.

Tam gdzie i ja!

MARYNA

(*ukazuje się za progiem komory w prawo, — poblądła opiera się o uszak i słucha uważnie.*)

JAGA.

Szkalowała drugich, podpatrywała, podsłuchiłam i ją
ją jak se zmawiała konie na jutro do miasta. A wiecie
dokąd? Ku żeleźnicy, we świat.

BUDYKA.

Co? co? ku żeleźnicy?

JAGA.

Staszek Krupa ją powiezie.

BUDYKA.

Zkąd wiesz?

JAGA.

Słyszałam jak się zmawiali. A i Zośka.

BUDYKA.

Słyszałaś?

ZOŚKA.

Jużci słyszałam.

BUDYKA.

Może ino tak gadacie? może kłamiecie?

MARYNA.

(*wchodząc z komory*). Nie kłamią. Dobrze słyszały.

ZOŚKA.

Tatusiu, nie pozwólcie jej jechać, tatusiu! Ja już
wam powiem wszystko. Do Hameryki jedzie (*ogólne po-
ruszenie*) Walek do niej listy pisywał, a na drogę jej dwa
razy pieniądze przysłał.

MARYNA

(wcisnąwszy się w kąt między kominem a drzwiami od komory). A czym ci to nie oddała książeczki i z precen-
tami?

ZOŚKA.

Ale wam posyłał. *(objaśniająco do rodzeństwa).* Sa-
ma mi to mówiła, ja jej za język nie ciągnęła.

BUDYKA

(podnosząc się z ławki). Prawda to wszystko, Maryna?

MARYNA.

Dwa razy mi przysyłał, dwa razy mogłam jechać
i widzisz, com nie pojechała, inom tu jest. Ale nie będę
tu i pojadę.

JAGA.

Słyszycie ją? wiecie teraz jaka jest? Ani się nawet
nie zasroma.

MARYNA.

Czy to każda ma za płotem swój srom na pozbycie?

JAGA.

Ty kukło!

GRZEŚ.

Jak'eście to matko powiedzieli?

JAGA.

I ty takiej „matko“ mówisz *(odciąga go).*

GRZEŚ.

Puść! — (*do MARYNY*) Coście to sobie myślała?

BUDYKA.

Cichaj, cichaj Grześ, — co se myślała, to myślała
(*przystępując do MARYNY*). Tak ty chcesz jechać?

MARYNA.

Juści chcę.

BUDYKA.

I gdzież ty zamyślasz jechać.

MARYNA.

We świat! we świat z tego grobu. Kto chce tu skapieć, niech skapieje, ja nie chcę i nie mogę.

BUDYKA.

Do Hameryki pojedziesz?

MARYNA.

Tam gdzie będę mogła pracować i gdzie mi za moją pracę chleb dadzą, nie niewolę.

ZOŚKA.

Niewola jej przy swoim ślubnym siedzieć. Wolicie przy nie swoim.

MARYNA.

To za moją ku tobie dobroć tak mi, Zosiu, płacisz?

BUDYKA

(*chwytając ją za rękę*). A jakże ty mnie za moją płacisz? Toś ty łazarza ze mnie zrobiła, na pośmieszki ludziom dała, do dziadowskiej torby dowiedła...

MARYNA

(*wyrywa dłoń z jego ręki*). Nie ja, ino twoje dzieci.

BUDYKA

(*coraz bardziej unosząc się*). Niechaj moje dzieci, kiej sama masz żywot jałowy. Nie matką ci być, ino wsioską miłośnicą! Ty na pracę za morze jedziesz? Na miłośnicę dla tego zbijaka.

MARYNA

(*straciwszy cierpliwość*), No, na miłośnicę.

BUDYKA

(*zamierza się na nią*).

ZOŚKA

(*przyskakując*). Ty bezwstydna!

JAGA

(*przyskakując*). A szkalować drugie umiesz, ty!

ZOŚKA.

Ja ci oczy wydrapię!...

MARYNA

(*roztrąciwszy ich wyblega na środek izby*). Zwierzęta jesteście! Czego wy ode mnie chcecie! Matko święta, Matko święta, com ja wam zrobiła? com wam zawiniła, co? (*do*

BUDYKI). Wziąłeś mię chudobną, twoja wola była, a zaś moja o świetle do pracy wstawać, a po pracy przy tobie leżeć. Pracowałam, harowałam, nie widziało ci się to, przyjąłeś ich pod dach, przepisałeś, zakosztowałeś u nich łaskawego chleba a i ja z tobą. Ha! ten łaskawy chleb, kie człowiek ma ręce, co by zarobiły na swój własny i nie taki jeszcze.

GRZEŚ.

Nikt go wam nie wymawiał, boście go zapracowała.

MARYNA.

Tyleś łaskaw — no, no... Tak co chcecie ode mnie? Co ty, człeczko, ode mnie chcesz? com ci zawiniła?

BUDYKA.

Całe moje nieszczęście!

MARYNA.

A widziałeś moją dolę? chodzi za mną i tańczy, chodzi za mną i śpiewa, a śpiewa tak, że aż mą się głowy chyta... Widziałam ją kiedyś w przeręblu, aż mię do niej ciągnęło... Moja dola! Dostatków mi nie dałeś, miałam chłopaka jakbym chłopaka nie miała, dzieciaków mi Pan Bóg pożądał, za to mi twoje nagodził, o! nagodził... Niekiedy pies za mną latał, prosił, skamlał, kusił, szarpał... Jezu, Jezu, Tyś mi ino tę moc dał, com ostała pocziwa. A czyś ty pomyślał o tym, kogo ty w dom bierzesz? czyś ty, łazarzu, pomyślał o tym, jak ja się morduję? czyś ty serce nade mną miał? czyś ty mię podparł, jak mię to do ziemi gnieć? podparłeś?... A ja przecie jestem ino człowiek... (*wybuch płaczem*).

BUDYKA.

(*nle bez poczucia swej winy*). Co ta było, to było. — Bez zimę się jako przechowamy.

MARYNA.

A potem o proszonym chlebie.

GRZEŚ.

Na początek u nas ostaniecie.

MARYNA

(*namlętnle*) Ja ostać? tu ostać z wami? możebyś wkiedy wyniósł mi jeszcze kradmo kromkę chleba, a i pozwolił kradmo na szopie się przespać?

GRZEŚ.

Po pierwsze nic nie muszę robić kradmo, a po drugie dostaniecie od nas, co się wam będzie patrzyło, bo se zarobicie.

MARYNA.

Ja zarobię, ale ojciec...?

JAGA.

Ojciec zarobi też.

MARYNA.

O kijkach chodzący?

JAGA.

No, nie będzie próżniaczył.

MARYNA

(*do BUDYKI*). Słyszysz?

BUDYKA.

A cóż ja wam zarobię?

GRZEŚ

(*wskazując na Jagę*). No, ona tam już umyśliła...

JAGA.

A co byście wiedzieli, że zarobi. Wiele, mało, każdy grajcar dobry. Co zarobicie, to zarobicie, a pieniądze nam oddacie. W każdą niedzielę do dwóch szóstek, a w odpust i zaduszki, to papierka albo mało co mniej. Siedniecie se ino pod lipą u kruchty z różańcem...

MARYNA.

Ty se tam siednij, wiesz! Bliżejś kościoła niż on.

BUDYKA.

Jakto? to niby co zamyślacie?

GRZEŚ.

Dobrze zamyślamy.

JAGA.

Jużci dobrze.

GRZEŚ.

Macie tam cosi gotowizny, ale to okrągłe, to się minie wnet. Tak ona umyśliła — i słusznie — że co się minie, to ojciec do wiesny uzbiera po grajcarku. — Dziad

pijak, jest ino pijak, ale dziaduś chwalący Pana Boga, to już tak, jakby w sobie krzyne świętości miał, to już on za duszyczkami się wstawia, to do Matki Boskiej, to do św. Piotra...

MARYNA.

(*porywczo*) No, nie będzie to i koniec, rozumiesz. Jakbyście mogli, to byście i skórę z niego przedali.

JAGA.

To go żywcie sama.

MARYNA.

A będę.

JAGA.

Jużci! zwalicie go nam na kark, a sama we świat do Hameryki.

MARYNA.

A co byś se wiedziała, że pojedę.

ZOŚKA.

Tatusiu, tatusiu, przecieć to o mnie, o moje dziecka idzie. Jakby się mnie wyparł, to kto tam za morzem ich upilnuje.

BUDYKA

(*który śród niemej gry twarzy przysłuchiwał się dotąd*).
Lepsza ona niż myślicie. Gada ino, ale nie pojedzie nikaj.

MARYNA.

Pojadę, tak mi Panie Boże dopomóż.

BUDYKA.

Nie przyzwalam na to ja, mąż.

MARYNA.

Człowieku, toć mię nie uwiążesz.

BUDYKA

(*gwałtownie*). Nie pojedziesz, ja ci mówię.

JAGA.

Ona se ta co z ojca robi.

BUDYKA.

Więcej niż ty, świnio, co mię chcesz w żebraka ob-
rócić! — Ona nie pojedzie. Nie ostanie po dobroci, to ja
i tak sposób na nią najdę. Nie strachaj się, Zośka. A ty,
Grzesiu, przecieć się tam i ona pomieści u was.

JAGA.

U nas nie ma placu. Będzie z wami siedzieć w ko-
mórcie.

GRZEŚ.

Co tam dziś gadać o tym. Jużci na polu was nie osta-
wimy. Jutro do południa po was i po resztę statku przyjadę
sankami. A teraz trza iść. Już noc. Zbieraj się Jaga.
Dobranoc, matko.

MARRYNA.

Bywaj zdrow, Grzesiu. Tyś ta jeszcze nienajgorszy.
Pomyślij też czasem o mnie.

ZOŚKA

(*żegnając się z BUDYKĄ*). Słyszycie, tatusiu?

BUDYKA.

Nie trap się córuś nic. Ja ci przysięgam, co ona ostanie tak abo tak. Przysięgam ci na to.

ZOŚKA.

Dobranoc, Tatusiu.

BUDYKA.

No, no. — A ty, Grześ, o której przyjedziesz?

GRZEŚ

(*w progu sieni*). W jedenaście godzin.

JAGA.

Powiedz w dziesięć jak nie w dziewięć. Jutro raniutko msza święta za dziedzica i panów się nazjedzie, to by ojciec odrazu mógł...

MARYNA.

Ty dziadówko! (*do Budyki*) Żebyś mi na to nie przystał, Maciek (*do Jagi*) A to ci mówię, co prosz Boga, żeby z ciebie za twoje złe serce żebraczki nie zrobił.

JAGA

(*we drzwiach już*). Do Hameryki pojedziesz? he, he, he...

BUDYKA

(*Idąc ku niej*). Wynocha!

JAGA

(*z gestem pogroźki*). Jeszcze się ta nie o jedno będziecie mnie prosić.

(*znika w sieni*)

SCENA 7.

(*BUDYKA siada na ławie zgnębiony, MARYNA wyciąga spod łóżka za piecem tłumok, obwiązany chustą na krzyż. Rozwiązuje chustę, dopakowuje kawałek przyodziewy i zwią-
zawszy znów rogi chusty, kładzie tobołek na stole*).

MARYNA

(*podchodząc do Budyki*). Jadłeś co na wieczerzę?

BUDYKA.

Nie chciało mi się jeść.

MARYNA.

To ci duchem narządzę chlebianki. Jeszcze gdziesi mam kuńtyczek szperki (*milczenie*). No, Maciek. Narządzić ci?

BUDYKA.

Nie chcę.

MARYNA.

Nie bądź przekorny. Jutro już nie tu. Będą ci każdego kaska żałowali, nie znam to ich? Słyszałeś sam, jak cię z różańcem pod lipą sadzają. Ani mi się ważyło robić. Ja na ciebie zapracuję.

BUDYKA.

A jak roboty niejaki nie najdziesz?

MARYNA.

Co bym nie znalazła. Nie zdrowam to? nie robotna? Ja się niejaki pracy nie boję. Jak to nieszczęście na cię przyszło, zbywało ci na czym? Leżałeś tygodnie, a czyś w gnoju leżał

abo głodny? Narzekałeś ta na mnie nieraz, podejrzenie miałeś, przeżywałeś... — a nie było nam wtedy najlepiej? co? No powiedz sam. (*BUDYKA podnosi na nią oczy, lecz milczy*). No powiedz Maciek.

BUDYKA.

No było. A jeszcze nim ta chorość na mnie przyszła, mój Boże... Pamiętasz Maryna, jak my się to u Janików za wodą schodzili? Żadna tyle lnu bez wieczór nie wyczesała, co ty — żadnej się to tak nie darzyło jak tobie. A pamiętasz wtedy przed św. Andrzejem?

MARYNA.

Cóżbym nie pamiętała.

BUDYKA.

Mój Boże, mój Boże... A pamiętasz w lecie wiśniowy sad i ten przełaz od pola? Jak cię jeszcze nie było w izbie, tom na cię dybał, a myto od ciebie musiał dostać.

MARYNA.

Jużeś i wtedy był przekorny.

BUDYKA.

No, lubilem przezbywki, bom się do ciebie zalubił, hej, hej! A jak już szły zapowiedzi, pamiętasz przy młyńskim stawie? Potkałem cię samą... Biały bób woniał i sianokos woniał... Od ciebie to na mnie szło i dech zapierało... Inom ujął cię wpół... Ej, Maryś, moja Maryś!... (*kładzie dłoń na jej ramieniu*).

MARYNA

(posmutniała wskutek tych wspomnień). Zapomniałam już, żeś mię wprzódzi inaczej nie osłowił ino: Maryś moja. Mówiłeś mi tak, kie ci dobrze było i teraz mi tak mówisz, kiej ci źle. Bóg ci za to zapłać. We szczęściu-ś mi wierzył, uwierz-że mi i w nieszczęściu, uwierz.

BUDYKA.

A bo co?

MARYNA.

Bo mi twojej wiary potrza, bo chcę z tobą po dobrej woli, nie po złości, nie po gniewie. Wierzysz mi?

BUDYKA.

A bo co?

MARYNA.

No bo przecie... Myślę, co rozumiesz, że już nie może być inaczej, ino tak jak'em umyśliła.

BUDYKA.

Jak'eś umyśliła...?

MARYNA.

Świat jest wielki, ogromny, — tu biedny — tam bogaty, tu ciasny — tam przestrony...

BUDYKA.

Tak co?

MARYNA.

Do wiesny ci starczy to, co masz...

BUDYKA.

Tu останiesz! zawczas narychtowałaś se tobół.

MARYNA.

Maciek, Maciek, miej-że rozum.

BUDYKA.

Dość go na to mam (*idzie ku stołowi*)

MARYNA.

A nie masz, nie chcesz mieć.

BUDYKA

(*chwytając tobół*). Rozwiąż ten tobół, gadam ci.

MARYNA.

Nie ma w nim nic twego.

BUDYKA.

Rozwiążesz czy nie?!

MARYNA.

Ostaw go (*z łatwością odbiera mu go*).

BUDYKA.

Maryna, ty mnie jeszcze nie znasz.

MARYNA.

Ani ty mnie. Ty nie wiesz, jaka we mnie moc. Ty mnie zniewolić? ty mnie? Tylem lat przykuta do trupa a żyję i tyle mocy mam, co się nie boję iść z nim we świat.

BUDYKA.

A jak ten trup zdoła cię jeszcze przymusić siłą mocą?
(*chwytając ją za ramię i chce przemocą usadowić na ławie*).

MARYNA.

(*spo'ojnie, ale z ogromną przewagą siły zdejmując jego ręce ze swych ramion i sadza go na ławie*). To by musiał
wpierw zdołać — Siednij-że se, kiej chcesz siedzieć.

BUDYKA

(*uległszy przemocą siada i ciężko dysza*).

MARYNA.

Kto mocniejszy, wiesz teraz? (*znowu dobrym, miłym głosem*) Słuchaj, Maciek, a cóż mi tu z tela we świat
wygania jak nie to, co byś nie musiał pod kościołem o graj-
car prosić? To ty temu nie rozumiesz? A to by ci źle było
za parę kilka lat mieć gdzie nową dziedzinę, nowe grunta?
(*przysiadając do niego*).

BUDYKA

(*z nagłą zmianą taktyki*). To niby jak?...

MARYNA.

Mało się to u nas bogaci z tych, co za morze jadą?

BUDYKA.

Ja ci nie dam na drogę ostatniego grajcara.

MARYNA.

Ja ci go nie zabieram.

BUDYKA.

To masz za co jechać?

MARYNA.

A cóż ty myślisz, że ja ino przegrażam?

BUDYKA.

Przysłał ci szyfkartę?

MARYNA.

Już się ta o to nie kłopot, — dość, co pojadę. Tam zarobki wielkie, pieniądze na drodze leżą. Pobędę tam dwa, trzy roki, pójdę za praczkę abo gúzie do roli i będę pieniądze zbierać, aż uzbieram tyle, co się tu odkupimy, a jak nie tu, to weźmiemy ka jaką inną dziedzinę... Słyszysz? całą dziedzinę swoją, twoją ino i moją, nie na wymowie, nie na łasce.

BUDYKA.

(ciemno). Tak myślisz? więcś już tak przysięgła się jechać?

MARYNA.

Przysięgłam się... A jak wrócę — może rychlej jak za dwa roki — to myślę, co Pan Jezus da, co cię zastanę zdrowym.

BUDYKA

(j. w.) Tak myślisz?

MARYNA.

Taką mam wiarę. — Pomyślij ino, ty zdrów, ja zdrowa, kupimy se trzy abo i pięć morgów, bo ja tyle pół zarobię, co młody Bazan, a zaszparuję więcej. I jak tu nie jechać?

BUDYKA.

No prawda —

MARYNA

(*radośnie*). No widzisz, no widzisz. Nowe życie zaczniemy, słyszysz? nowe życie!

BUDYKA

(*j. w.*) Jedno z nas pewnikiem —

MARYNA.

To ci dziękuję (*chce go pocałować w rękę*).

BUDYKA

(*obroniwszy się przed pieszczotą*). No, no... Krupa cię powiezie?

MARYNA.

Skoro świt.

BUDYKA.

O świecie... No to czas już legać.

MARYNA.

Jużci trza. — Nagoniłam się bez dzień okrutnie.

BUDYKA.

To się kładź i wyśpij w tę ostatnią noc...

MARYNA.

Już nie myślįj o tym.

BUDYKA

(*ciemno*). Ale ty myślįj...

MARYNA.

Myślę i raduję się, co już ostatnia w tym grobie.

BUDYKA.

No, no, idź legać, idź.

MARYNA.

A ty? *(idzie, siada na łóżku za plecem, zzuwa buty oraz wierzchnią kciekę i kładzie się głową do komina)*

BUDYKA.

Jeszcze chwilę posiedzę, u ognia się pogrzeję.

MARYNA.

Wygrzej się, wygrzej dziś, bo nie wiedzieć, jak ci tam u nich będzie. Może ci ławy u komina pożałują. Ale niedługo tego będzie, nie. *(pauza)* Chcieliby cię w dziada obrócić, tfy! — Mają teraz wszystkiego dość, — izby dwie, obora, chlew, drewnutnia... Obaczysz sam jutro. — *(pauza)* To ino Jaga na ten grajcar taka chciwa. Wstydu niejakiego nie ma.

BUDYKA.

A czy to drugie go mają? *(podnosi się z ławy, ujmując na brzegu komina leżącą siekierę, palcami próbuje ostrza i z wolna skrada się ku Marynie).*

MARYNA.

No jużci, różna się trefi. Ale ona niedość co bezwstydną, ale i złą. Toteż nie na nią, raczej się tam na Grzesia obracaj. *(pauza)* Co ty jeszcze, Maciek, robisz?

BUDYKA

(*kryjąc siekierę za siebie, a drugą ręką grzebiąc w palenisku komina*). Pozieram, co by ogień bez noc nie ostał...

MARYNA

(*wyjrzawszy zza pieca*) Chodź już, chodź, (*cofa głowę*).

BUDYKA.

Będzie na czas...

MARYNA

(*po chwili, — marzycielskim tonem*). A wiesz ty? Kubuś Bazan mi mówił, co tęga praczka to tam i trzy dolary bez dzień zarobić zdoła. A to na nasz pieniądz... wiesz ile? Mało chyba siedem papierków. Pomyślij ino: za dzień siedem papierków! I tyś nie chciał zwolnić i ty się dziwujesz, co ja chcę jechać?

BUDYKA

(*doszedłszy już do głów łóżka*). Dziwić się nie dziwuję, ale ty tam nie pojedziesz.

MARYNA.

A to czemu?

BUDYKA.

Bo nie! (*wznosząc siekierę*) Tu останiesz... trupem!

MARYNA.

Jezus Maryja! (*jednym ruchem zrywa się, chwytając go za rękę i odpycha z taką siłą, że siekiera wypada mu ze zdrtwiałej dłoni, a sam BUDYKA przewraca się z ję-*

kłębem na kleptko). Co? coś ty umyślił? coś ty umyślił?!
Siekierą na mnie? siekierą? Tak bez łeb siekierą jak ga-
dzinę? Jezu, Jezu, Jezu!!!

(pauza)

(*BUDYKA wśród jęków daremnie sili się powstać z ziemi*)

MARYNA

(*pełna grozy*). I za co? za co? za co?!... Ciebie już Bóg opuścił, opuścił cię Bóg... Mnie siekierą! (*podnosi ją z ziemi*)
Żebyś już spała, abo co bym nie była taka mocna, jużbyś tu na niej była moja krew... Za coś ty mi chciał życie odbierać? za co? Bóg mi je jeden weźmie, nie ty... Tyś mię chciał zabić, ty łazarz? Ty, co się sam ze ziemi pozbiierać nie możesz... (*odkłada siekierę na brzeg komina, podchodzi do postępującego Budyki, ujmując go z tyłu pod pachy, stawia na nogi i sadowi na ławce. — BUDYKA, który zrazu odpychał jej pomoc, ujęty pod pachy ulega sile i znalazłszy się na ławce, wybucha strasznym szlochem*)

(pauza)

MARYNA

(*nie mogąc patrzeć na jego rozpacz i ból, odstępował odeń i siadał na łóżku*). Więc taka była twoja dobra wola ku mnie?... Zabić mię chciałeś... Com ja ci winna? Winna to jestem temu, że tu we mnie wre i kipi, że mi do życia, nie do śmierci? Żyć chcę, rozumiesz, żyć! Nie ja, ino jakaś moc we mnie, nie ja, ino siła silniejsza ode mnie, coś wielkiego, jakisi głos wołający: pójdź i żyj i ciesz się z tego, co żyjesz i raduj się tym i Pana Boga swoim życiem i pracą chwal... Opatrowałam kiedyś przerębel

na stawie, mął mię oblatywał... i wtedy Bóg na mnie
zawołał: żyj, kiedym ci życie dał! A tyś mi je chciał
wziąć, ty? Tyś mi je chciał wziąć...

BUDYKA

*(podczas tego, przestawszy tkąć, patrzy tępo przed siebie
i z wolna, niemal automatycznie odpina pasek od spodni.
Siłą woli i decyzji przemaga ból kolan, jedną ręką przy-
trzymuje opadające portki, i wychodzi do komory w prawo).*

MARYNA.

*(prawie równocześnie pod wpływem powziętej decyzji do-
bywa spod łóżka zzute poprzednio buty i zaczyna się
z powrotem ubierać. — Ledwo tego dokonała, słychać
stuknięcie zasuw u drzwi komory. — Nie widząc Bu-
dyki, na którego nie zwracała uwagi, i usłyszawszy stuk
zasuw, zdradza twarzą jakieś zaniepokojenie, jakieś złe
przeczuć. Podbiega do drzwi komory, chce je otworzyć
zamknięte) Maciek, pociśnij drzwi zapał? Otwórz —*

(wewnątrz komory milczenie)

MARYNA.

*Słyszysz Maciek, otwórz! (milczenie) Cóż on zamyśla?
(wspina się na palcach i przez oszklone okienko we
drzwiach zagląda do wnętrza, lecz dla ciemności nic nie
widzi) Co ty tam po ćmie robisz? (puka we drzwi ko-
mory, słychać z niej jakiś stłumiony hałas, jakby runięcie
ciężkiego jakiegoś przedmiotu) No, słyszysz, Maciek. (po-
śpiesznie zapala świeczkę, przy jej świetle chce rozpatrzyć
się we wnętrzu komory, odbłask światła na szybko prze-*

szkadza jej w tym, — niewiele się namysławiając wybijła ręką szybę i wrzuca płonąca świeczkę do wnętrza) Co on tam?... cóż to...? (nagle dojrzała) Jezus Maryja! (szarpie za antabkę drzwi napróżno, odskakuje, chwytą z komina siekierę, próbuje zasadzić ją między drzwi a uszak) Ani jak ją wrazić... (zagląda do wnętrza) Jezusie, Jezusie już mu twarz sinieje... (przykucnęła u progu i próbuje u dołu je podważyć) Panno Święta, Matko Bosko cudowna... Matko Bosko cudowna... Jak on tam o własnej mocy wyłazi?... Ani jak wrazić... Jezusie, pomóż... (mówi nerwowo, bez związku, — sili się na wyważenie drzwi, a równocześnie walczy z jakąś natrętną, nasuwającą się jej myślą) Cóż mię tak siły odchodzą?... Idź precz, pokuso... Panienko Przeczysta, ratuj! Panienko Przeczysta, ochroń!... Jezusie, Ty mi sił dodaj... Jezusie słodki... (znów się wspina, zagląda do wnętrza) Jeszcze można by go może okrzeżwić... (zrywa się z kolan, biegnie do okna, jednym uderzeniem pięści wywala je i woła) Ludzie! Ludzie!... (biegnie ku drzwiom od sieni, potem ku drzwiom komory, raz jeszcze szarpnęła za antabkę, wciska ostrze siekiery między drzwi i próg i stara się je podważyć, — lecz czyni to coraz słabiej, coraz wolniej, — wreszcie wstaje, prostuje się, z jej opuszczonych rąk wypada siekiera z łoskotem. Z wbitymi w próżnię oczyma stoi przez chwilę skamieniała).

MARYNA.

(po chwili otrząsa się z zadumy, ze zgrozą i ulgą zarażem) Zerwała się obróż na psi!... (chwytą za toboł z rzeźcami i wybiega).

Kurtyna

K O N I E C.



157 -

Biblioteka Śląska w Katowicach
Id: 003000063337



II 170779